

WIELKI SPÓR  
O FONOGRAF

DAVID IRVING  
BRONI HITLERA

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **ŁÓDŹ**

# ODGŁOSY

ROK XX NR 34 (1028)  
21 SIERPNI 1977 R.  
CENA 3 ZŁ



## DRUGA WOJNA ŚWIATOWA (2)

### OPERACJA „SONATA KSIĘŻYCOWA”

Skonstruowanie maszyn „BOMBA” i „ULTRA”, już w pierwszym stadium wojny, przyniosło Anglii niewymiernie strategiczne korzyści. Bitwa o Anglię należy bez wątpienia do najpiękniejszych kart w historii Wielkiej Brytanii. Ale dziś, wiedząc już o tym, iż rząd brytyjski i dowództwo wojskowe znały zawczasu wszystkie zamierzenia Hitlera, należy stwierdzić, że sytuacja Anglii latem 1940 roku nie była aż tak groźna, jak to próbował przedstawić Churchill całemu światu.

Wiadomo na przykład, iż w momencie kiedy niebezpieczeństwo hitlerowskiej inwazji na Anglię wydawało się szczególnie duże, premier polecił skierować znaczne siły: czołgi, okręty i oddziały piechoty do obrony Kanału Sueskiego oraz wsparcia gen. de Gaulle'a w jego wysiłkach zdobycia Dakaru. Podobne rozkazy wydawały się przeczyć zdrowemu rozsądkowi dopóty, dopóki nie dowiedziano się o istnieniu maszyny „Ultra”.

Poniósłszy klęskę w próbie zawojowania nieba nad Anglią, hitlerowskie lotnictwo zmieniło wkrótce taktykę, wykonując niemal wyłącznie nocne bombardowania, które wyrządzały Wielkiej Brytanii ogromne szkody materialne i mo-

ralne, zmiatając z powierzchni ziemi domy mieszkalne i całe dzielnice przemysłowe w największych miastach kraju. Oczywiście, nie mogły one spowodować decydujących zmian w przebiegu wojny. Maszyna „Ultra” pomogła wprowadzić w zaangażowaniu niebezpieczeństwa hitlerowskiej inwazji na Anglię, ale w niedalekiej przyszłości Anglii mieli ponieść ogromną ofiarę za zachowanie w najbliższej tajemnicy źródła tej informacji. Sądzono było, żeby tę ciężką ofiarę poniosło miasto Coventry.

O świcie 12 listopada 1940 roku dowództwo Luftwaffe zaczęło przekazywać rozkazy do sztabów armii lotniczych, rozlokowanych w Zachodniej Europie. Maszyna „Ultra” odczytała je błyskawicznie i w konsekwencji dowództwo brytyjskie poznało plan

niemieckiej operacji pod zakodowaną nazwą „Sonata księżycowa”. Dotyczył on zmasowanego nalotu, w nocy z 13 na 14 listopada 1940 r., na przemysłowe miasto Coventry, słynne na cały świat z przepięknej, zabytkowej katedry. Churchill pojął od razu, że Niemcy zamierzają uczynić z Coventry to, co zrobili z Rotterdamem: zabytkowa część miasta została starta z powierzchni ziemi, grzebiąc pod gruzami domów 900 ofiar. W nalocie wzięło wówczas udział 57 bombowców typu „Heinkel 111”. W nalocie na Coventry zamierzali hitlerowcy użyć 500 dwusilnikowych samolotów tego samego typu!

COVENTRY — miasto z 250 tysiącami mieszkańców, rozrzucone na powierzchni ponad 50 kilometrów kwadratowych, leży 140 kilometrów na północny zachód od Londynu, w samym sercu środkowej Anglii. Zostało założone w 1043 roku podczas panowania kr. Leofrika i jego żony, legendarnej lady Godivy. Tutaj wybudowano słynny klasztor Benedyktynów; katedra św. Michała zbudowana w XIV wieku uchodziła za jeden z najwspa-

Dalszy ciąg na str. 8

## ŁÓDŹ

EDWARD SZUSTER

### CZTERY ROGI

— Proszę pana — rzekł mi znajomy docent. — Kto to takie rzeczy robi? Na Zachodzie nikomu do głowy nie przyjdzie przebijając magistralę komunikacyjną przez sam środek miasta; tam buduje się obwodnice, tylko u nas... — zawiesił głos i spojrzał na mnie wymownie.

1.

Nie jestem ekspertem w sprawach budownictwa drogowego i komunalnego więc nie bardzo wiedziałem jak się pewne sprawy na Zachodzie rozwiązuje. Docent, co prawda, też nie zajmował się budownictwem drogowym czy komunalnym, był humanistą, ale chyba wiedział co mówi, bo sporo jeździł po świecie. Można było, oczywiście, podjąć teoretyczną dyskusję na temat: „czy doświadczenia Zachodu są dla nas drogowskazem”, ale nie miałem na takie dyskusje ochoty. Podejrzywałem, że tak czy owak nie uda mi się zachwycić przekonaniem docenta, którego bardzo

irytowało to, co dzieje się na ulicy Głównej.

W parę dni później gdy wpadła mi przy jakiejś okazji w ręce reprodukcja planu miasta Łodzi z 1873 roku dowiedziałem się, że przed stu laty jedyną gęściej zabudowaną przecznica Piotrkowskiej była właśnie Główna, a przyczyna takiego stanu rzeczy nie była trudna do odgadnięcia. Od 1846 roku tedy właśnie toczyły się wszystkie wozy, powozy i furgony zmierzające z Łodzi do stacji kolei żelaznej w Rokicicach lub z powrotem; przez dwadzieścia lat przeszła ulica ta tętniła żywym ruchem, była atrakcyjna i w tym właśnie okresie wyrosły przy

niej te charakterystyczne dla połowy ubiegłego stulecia przypominające dworki domki rzemieślników czy kupców. Kiedy w 1866 r. kolej żelazna dotarła do Łodzi i jazdy do Rokicin przestały być potrzebne, znaczenie Głównej wydatnie spadło, nowe budynki — już nie dworkowo-parterowe — zaczęły powstawać przede wszystkim w okolicach dworca Kolei Fabrycznej.

Znajoma nauczycielka pracująca w jednej ze szkół zachodniej dzielnicy miasta, opowiadała mi z radością o tym, że niedawno dostała mieszkanie w osiedlu Widzew-Wschód. Ale jej radość jest nieco przytłumiona, bo na to by z mieszkania dostać się do szkoły musi stracić około trzech kwadransów.

— Za parę lat — powiedziałem — nową łódzką trasą W-Z będzie pani jeździć znacznie szybciej.

— Mam nadzieję — rzekła. — Ale co się przez te parę lat wymęcze to się wymęcze...

Tak więc docent patrzy na sprawę ulicy Głównej dość jednostronnie. Omiłujące miasto obwodnice są, oczywiście, potrzebne dla uczestników ruchu dalekobieżnego, ale nie należy

Dalszy ciąg na str. 5

## ROLNICTWO



TOMASZ SOLDENHOFF

### „BIZONY” BOJĄ SIĘ DESZCZU

W lipcowe święto jechałem do Poznania...  
— Ludzie jednak robią w polu — zauważyła kobieta, siedząca przy oknie.

— A co mają nie robić? Czekać, aż wyschnie? — mruknął sąsiad z naprzeciwka. — Robią, choć święto, bo pogoda kaprysi.

To był początek żniw. W tym roku przyszły z prawie 1,5-tygodniowym opóźnieniem.

— Dawniej — opowiadali mi na wsi — trafiały się „roki”, że na 22 lipca zboże było w stodołach. Nie tak, jak dzisiaj.

29 lipca 1977 r. gazety doniosły, że w centrum kraju żniwa idą już pełną parą. Na trzech czwartych powierzchni obsianej rzepakiem nawet się skończyły. W Tarnobrzescu skoszone aż 95 proc. żyta. Z początku jednak nie miałem szczęścia. Żniwiarzy znalazłem, ale żniw... trzeba było trochę szukać.

Zarówno w Bratoszewicach w łódzkim województwie, do których jechałem po drodze, jak i w Jackowicach w Skierniewickim, które miały być celem podróży, prawdziwe żniwa jeszcze się nie zaczęły...

Dalszy ciąg na str. 3



# NA MAPIE ŚWIATA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## JAMAHIRIYA

Na początku 1977 roku libijska agencja prasowa nadała do wszystkich odbiorców serwisu prasowego następującą depeszę:

„Pragniemy przypomnieć, że oficjalna nazwa naszego kraju brzmi: **SOCJALISTYCZNA LUDOWA LIBIJSKA ARABSKA JAMAHIRIYA (DŻAMAHIRIJA)**. Mamy nadzieję, że nasi odbiorcy zrozumieją nasze nalegania na używanie nazwy, która pod względem formy i ducha odzwierciedla nowy ludowy system władzy”.

Dalej libijska agencja prasowa wyrażała nadzieję, że jej odbiorcy w doniesieniach prasowych wstrzymają się od używania nazwy „Libia”, która to nazwa jej zdaniem „już nie odzwierciedla dostatecznie ani nazwy naszego kraju, ani politycznego systemu”. Przy tej okazji PAP, przypomniał, że w polskich oficjalnych dokumentach używa się nazwy: **LIBIJSKA ARABSKA REPUBLIKA LUDOWO-SOCJALISTYCZNA**. A wychodzący w Tunezji „Jeune Afrique” przypominał znów, że „po raz trzeci Libia zmienia swą nazwę”.

### Libia

1 września 1969 roku, podczas nieobecności króla Idrisa w Libii, dokonano zamachu stanu i ustanowiono republikę. Władzę przejęła Rada Dowódców Rewolucji. Na czele zamachowców stali między innymi pułkownik Saad ed-Din Abu Szwejrjib oraz kapitan **Numar Muammar Kadafi**. W kilka dni później **Numar Muammar Kadafi** został pułkownikiem i naczelnym dowódcą sił zbrojnych, a pułkownik Saad ed-Din Abu Szwejrjib — szefem sztabu głównego. N. M. Kadafi był premierem od 1972 roku, kiedy to urząd ten objął major Abd as-Salam Dżalud.

Król Idris osiadł na emigracji w Kairze, gdzie przebywał do dnia dzisiejszego. Ma już 87 lat, ale mimo podeszłego wieku nie zaprzestął działalności politycznej. Stał się ostatnio — w okresie nasilających się sprzeczności i zaostrej sytuacji politycznej — i zastrzegającym się konfliktu między Egiptem i Libią — szczególnie aktywny, rozwijając działalność skierowaną przeciw rządowi Dowódców Rady Rewolucji w Libii i pułkownika Numara Muammara Kadafiego. W działalności tej sekunduje mu między innymi szef byłego rządu króla Idrisa — M. Bakusz, którego przyjmowały niedawno wysokie osobistości polityczne w Kairze, traktując go jako przywódcę prawicowej opozycji, której działalność zmierza do obalenia rządów pułkownika Numara Muammara Kadafiego.

1 września 1969 roku, podczas nieobecności króla Idrisa w Libii, dokonano zamachu stanu i ustanowiono republikę. Władzę przejęła Rada Dowódców Rewolucji. Na czele zamachowców stali między innymi pułkownik Saad ed-Din Abu Szwejrjib oraz kapitan **Numar Muammar Kadafi**. W kilka dni później **Numar Muammar Kadafi** został pułkownikiem i naczelnym dowódcą sił zbrojnych, a pułkownik Saad ed-Din Abu Szwejrjib — szefem sztabu głównego. N. M. Kadafi był premierem od 1972 roku, kiedy to urząd ten objął major Abd as-Salam Dżalud.

Król Idris osiadł na emigracji w Kairze, gdzie przebywał do dnia dzisiejszego. Ma już 87 lat, ale mimo podeszłego wieku nie zaprzestął działalności politycznej. Stał się ostatnio — w okresie nasilających się sprzeczności i zaostrej sytuacji politycznej — i zastrzegającym się konfliktu między Egiptem i Libią — szczególnie aktywny, rozwijając działalność skierowaną przeciw rządowi Dowódców Rady Rewolucji w Libii i pułkownika Numara Muammara Kadafiego. W działalności tej sekunduje mu między innymi szef byłego rządu króla Idrisa — M. Bakusz, którego przyjmowały niedawno wysokie osobistości polityczne w Kairze, traktując go jako przywódcę prawicowej opozycji, której działalność zmierza do obalenia rządów pułkownika Numara Muammara Kadafiego.

### Pułkownik N. M. Kadafi

urodził się w 1938 roku w mieście Misurata. Urodził się w beaudińskim namiocie, który jego ojciec, wędrowny kupiec, rozbił na

krakcach tego miasta. Z wykształcenia jest historykiem sztuki. Studia ukończył na Uniwersytecie Libijskim w Benghazi. Później studiował w brytyjskiej akademii wojskowej w Sandhurst. Po ukończeniu tej akademii rozpoczął służbę wojskową w armii libijskiej. Jest gorącym wielbicielem Gamala Abdela Nassera i jego rewolucyjnych idei. Uchodzi też za fanatycznego muzułmanina. Po objęciu władzy w Libii wprowadził prawa opierające się na Koranie. W swojej polityce kieruje się nacjonalizmem arabskim, popiera wszelkie wysiłki zmierzające do zjednoczenia świata arabskiego, uparcie walczy z imperializmem i reakcją w państwach arabskich. Jest jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci na Bliskim Wschodzie.

Pułkownik **Numar Muammar Kadafi** prowadzi skromnie i dość surowo życie. Budzi się około 5 rano, aby zgodnie z Koranem móc się pierwszy raz pomodlić. Potem śpi jeszcze do siódmej. Na śniadanie je chleb z serem i pije filiżankę mocnej herbaty. Mieszka na terenie koszar w Bab Azizja. Stamtąd udaje się do siedziby rządu, gdzie spędza czas do godziny 14. Wraca do Bab Azizja i po obiedzie naradza się z ministrami i oficerami. Wieczorem odpoczywa nad morzem wraz z żoną, pielęgniarzką z zawodu. Jest to jego druga żona. Pierwszą była córka szefa królewskiej policji. Rozszedł się z nią po obaleniu króla Idrisa. Zamachowcy obeszli się z szefem królewskiej policji niezbyt „delikatnie” i — jak się powiada — to było powodem rozwodu. Swoją drugą żonę poznał w czasie pobytu w szpitalu, gdzie znalazł się po wypadku samochodowym.

### Naftę w Libii odkryto

dopiero w 1955 roku. Było to dla zmniejszonej wojny Libii wielkie zaskoczenie. Nie bardzo wiedzieli, co z tą naftą zrobić, jak postąpić? Z okazji skorzystały amerykańskie monopole. Posłużyły radą i pomocą i otrzymały takie warunki, jakich nie posiadali towarzystwa naftowe w innych krajach. W Libii monopole naftowe mogły potrącać sobie między innymi koszty amortyzacji użytego sprzętu i urządzeń z pieniędzy płaconych do skarbu państwowego. Słowem to Libia pokrywała koszty eksploatacji swojej nafty. Te korzystne ustawy uzyskano nie tylko dzięki naiwności i brakowi doświadczenia urzędników króla Idrisa, ale też dzięki licznym prezentom, które pozwoliły — komu, trzeba zamknąć oczy i udawać, że nie wie o co chodzi.

Naftę odkryto nad Zatoką Syfra. Libia posiada — jak się ocenia — 4 miliardy ton nafty. Wielkim walorem libijskich pól naftowych jest to, że znajdują się węż i blisko rynków zbytu. Nafta dla biednego, pustynnego kraju oznaczała wielkie bogactwo. W Libii żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają, że król Idris obiecał im, że nafta dla Libii takie bogactwo, że każdy Libijczyk dostanie dom, samochód i nie będzie musiał pracować. Zaosyby naftowe Libii i tempo ich eks-

ploatacji pozwalają na spełnienie takiej obietnicy, ale obecny rząd libijski ma zupełnie inne ambicje i cele.

W 1971 roku rząd N. M. Kadafiego znacjonalizował naftę libijską. Przejęte zyski przeznacza się na rozbudowę kraju. Buduje się przemysł, buduje się nowe domy. Trypolis — stolica Libii — była kiedyś miastem wielkości Płocka, pełnym słumsów. Dziś w Trypolisie w miejsce słumsów wznosi się nowe domy, wybudowano port. Miasto się rozwija w bardzo szybkim tempie. Buduje się nie tylko w Trypolisie. Do 1980 roku Libia przeznaczyła na budownictwo mieszkaniowe 2,5 miliarda dolarów, co w przeliczeniu daje na statystycznego Libijczyka tysiąc dolarów. Rozwija się też szkolnictwo. Libijski uczenie wyposaża się w najnowocześniejszy sprzęt. Pość analfabety spadła z 90 procent do 50 procent.

### Dżabal Al Achdar

czyli Zielone Wzgórza w pobliżu Benghazi były kiedyś spichlerzem starożytnego Rzymu. Tutaj też Włosi osiedlili swoich kolonistów. Do dziś jeszcze stoją opuszczone, rozpadające się wioski farmy. Tylko niektóre zajęli Libijczycy. Polski „Budimex” stawia tam nowe farmy: pięciopokojowe domki z łazienką i toaletą, z kuchnią i zabudowaniami gospodarskimi. Takie farmy, wyposażone w traktor i maszyny rolnicze Libijczyk otrzymuje darmo, w zamian za zobowiązania, że będzie uprawiał rolę. Ale chętnych jest mniej niż wybudowanych farm. Libijczyk nie ma tradycji uprawiania ziemi, ale rząd libijski przywiązuje do rozwoju rolnictwa ogromne znaczenie.

Wielkim bogactwem Libii jest też... w o d a. Pod suchymi piaskami pustyni znajdują się jej ogromne ilości. Ale koszt wydobycia wody na powierzchnię jest bardzo wysoki. Tym niemniej czyni się także próby. W rejonie oazy Kufra 10 tys. hektarów nawadnia się wodą wydobytą spod ziemi systemem studni artezjskich.

Libia posiada też gaz ziemny. Zaczęto go wydobywać w 1965 r. Wydobywa się go 7 miliardów metrów sześciennych. Dochody z nafty i gazu pozwalają Libii realizować śmiałe plany inwestycyjne. Ale przeszkoda jest brak specjalistów, brak kadry. Nowe fabryki z trudem osiagają swoje możliwości produkcyjne. Wiele skomplikowanych urządzeń i maszyn pusze się i nie bardzo ma kto je reperować. Oblicza się, że straty z tego powodu przy inwestycjach wynoszą do 30 procent ich wartości. Jest to koszt wysoki, ale konieczny. Mimo tych strat w 1970 roku dochód narodowy ma wzrosnąć o 70 procent przy wzroście eksportu nafty o 45 procent. A więc znaczna dawka dochodu nowe inwestycje.

Ma więc Libia kłopoty wewnętrzne, ma spory zestaw trudności do pokonania, ale ma też i kłopoty zewnętrzne. W lipcu 1977 roku doszło do otwartego konfliktu między Libią a Egiptem, do konfliktu, który w niektórych stolicach państw arabskich wywołał zaskoczenie i zażenowanie.

placówki naukowej. Żeromski przyczynił się do uporządkowania i skatalogowania księgozbioru, ikonografii, zbiorów Mickiewiczowskich i Kościuszkowskich oraz archiwum rekopiściennego i dokumentów z działalności emigracji. Pracował też nad pozyskaniem nowych, czasem wręcz bezcennych nabytków.

Niezwykłe wrażliwy, trapiący chorobą, odnalazł w bibliotece atmosferę ciszy i spokoju, sprzyjającej studiom naukowym i pracy literackiej. Można zaryzykować twierdzenie, że praca w bibliotece wyrobiła w nim nawyk nieustannego obcowania z książką. Podejmując nowe zadanie, prace rozpoczął od gruntownych studiów, wertował książki, robił wyciągi i notatki. W tej sytuacji nieodzownym był własny księgozbiór. Skompletował ich w ciągu swego życia kilka, przekazując je później za rzecz społeczeństwa. Na szczególną uwagę zasługują ostatnia biblioteczka, mieszcząca się w domu pisarza w Konstancjowie. Zajmowała tam dwa pokoje na pierwszym piętrze. Zgromadzone ze szczególnym zapałem i staraniem, niemal wszystkie starannie oprowadzone przez właściciela, parające się intruzostwem, ustawione były na półkach według odpowiednich działów i nazwiska autora. Były to dzieła z dziedziny leżycznawstwa, słowniki, encyklopedie, tomiki poezji. Duża część zbiorów stanowiły książki ofiarowane pisarzowi, zaopatrzone w dedykacje. Żeromski gromadził w pełni prasowe dotyczące własnej twórczości, które przechowywał w

specjalnie na ten cel sporządzonych albumach. Księgozbiór, wraz ze zbiorami korespondencji, po śmierci przekazany został dla PEN — Clubu. Przewieziony do Warszawy, uległ częściowemu rozproszeniu, by zginąć ostatecznie w powstaniu. Ocalały jedynie, w nieznanym stopniu uszkodzone, rekopisy Stefana Żeromskiego.

Monograficzne ujęcie tematu przez Bartłomieja Szyndlera jest na pewno próbą nowego spojrzenia na autora „Popiołów” i nowego odczytania jego utworów, w których bez trudności odnaleźć można umiłowanie książki i właściwą ocenę jej funkcji społecznej, jak również rozległe wykształcenie pisarza, którego nabywa się poprzez nieustanny kontakt z książką. Wiele miejsca poświęca Autor Muzeum i Bibliotece w Raperswili, zmiennym losom tej placówki, która dzięki pracy włożonej przez Stefana Żeromskiego i jego następców stała się na przełomie stuleci największą biblioteką polską za granicą, pretendującą skutecznie do rangi księżnicy narodowej. Dwadzieścia dwie ilustracje w tekście i staranna szata edytorska to dodatkowe walory tej, jakże interesującej książki.

### MAREK CZECHOWSKI

\* B. Szyndler: Biblioteczka służba Stefana Żeromskiego. Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich 1977, 187 s. Książki o Książce.

# INFORMACJE

## MOJE SPOTKANIA Z ŻYCIEM KRAJU RAD

W związku z 60 rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej — najbardziej doniosłego wydarzenia w historii XX wieku, wywierającego ogromny wpływ na dzieje i losy wszystkich Polaków — pragniemy stworzyć wierny i wszechstronny wizerunek pamiętnikarski spotkań ludzi naszego kraju z ideami Wielkiego Października oraz ludźmi, kulturą, nauką, techniką i krajobrazem Kraju Rad.

Z nadesłanych opisów pamiętnikarskich powstanie dokumentalna publikacja zbiorowa. Staną się także te opisy inspiracją dla poczynnych literacko-artystycznych, tworzywem dla publicystyki, radia, filmu i telewizji a także materiałem źródłowym dla wielostronnych badań naukowych.

Organizatorzy konkursu — Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego, przy współdziałaniu czasopism i innych środków przekazu — zwracają się z gorącym apelem o udział w konkursie do wszystkich Polaków: kobiet i mężczyzn, pracujących i niepracujących, emerytów, studentów i młodzieży szkolnej. Bardzo zależy nam na szerokim udziale w konkursie wszystkich odmów polskiej klasy robotniczej — czołowej siły narodu, dysponującej już liczną grupą swych piszących na liczne konkursy i do gazet zakładowych przedstawicieli. Oczekujemy licznych wypowiedzi pamiętnikarskich od chłopów i nierolniczych mieszkańców wsi oraz od wszystkich grup inteligentno-pracowniczych i rzemieślniczych. Szczególnie cenne dokumentalnie i wychowawczo będą wspomnienia żołnierzy I i II Armii Wojska Polskiego, a także partyzantów oraz członków i działaczy partii ruchu robotniczego i ludowego.

Nie podsuwamy jednej obowiązującej tematyki wypowiedzi. Każdy może i powinien zaplanować swoją wypowiedź zgodnie ze swymi doświadczeniami oraz własną oceną ważności i miejsca związanych z tematyką konkursu wydarzeń ze swego życia. Najważniejsze są szczerść, prostota i bogactwo faktów oraz przeżytych nie jest to konkurs literacki i brak wprawy w pisanie czy ewentualne błędy językowe nie zmniejszają szansy uzyskania nagrody czy druku wypowiedzi.

Dla przypomnienia jedynie podajemy przykładowe tematy opisu pamiętnikarskiego. Kiedy w jakich warunkach oraz poprzez jakie książki, pisma czy jakich ludzi zetknąłem się z ideami Wielkiego Października — sprawiedliwości społecznej, równości, braterstwa narodów, pokoju, prawa do ziemi, gospodarowania fabrykami, prawa do pracy, wykształcenia, kultury i pełnego uczestniczenia w życiu publicznopañstwowym.

Jaki wpływ wywarły idee Wielkiego Października na moje życie, na kształtowanie i wzbogacenie w pełni humanistycznych postaw i cech osobowości oraz nowoczesnego, naukowego światopoglądu.

Moje spotkania z ludźmi Kraju Rad — w szeregach wojska i partyzantki.

Dla oceny nadesłanych wspomnień powołany zostanie Sąd Konkursowy, który przyzna wiele cennych nagród, wyróżnień i upominków w postaci wycieczek do Związku Radzieckiego, wyrobów radzieckiej sztuki ludowej oraz albumów i wydawnictw. Prace drukowane będą honorowane niezależnie od nagród. Materiały konkursu — z wyjątkiem zastrzeżonych dokumentów i fotografii — pozostają u organizatorów dla celów wydawniczych i badawczych.

Konkurs trwa do dnia 31 października 1977 roku. Tekst wspomnień w maszynpisie lub czytelnym jednostronnym rękopisie — z podaniem do wiadomości organizatorów: nazwiska, adresu, wieku, wykształcenia i zawodu — należy przysyłać do Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego, ul. Nowy Świat 18/20, 00-373 Warszawa, z dopiskiem na kopercie „Moje spotkania z życiem Kraju Rad”.

## Z okazji 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej

W ostatnim czasie ukazało się wiele interesujących wydawnictw „Książki i Wiedzy” z okazji zbliżającej się 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Nakładem „KIW” wyszła m. in. praca zbiorowa pt. „Klasy i warstwy w społeczeństwie radzieckim”. Wydawnictwo przedstawia problematykę przemian struktury klasowej w ZSRR — w ujęciu teoretycznym i naukowym radzieckich.

Ukazała się również praca zbiorowa socjologów radzieckich i polskich poświęcona przemianom struktury klasowej w ZSRR i Polsce. Książka zawiera artykuły omawiające przemiany w łonie klasy robotniczej, chłopstwa, inteligencji, a także niektóre zagadnienia dotyczące przemian społecznych w obu krajach.

Inna książka, również autorstwa uczonych polskich i radzieckich, nosi tytuł „Przemiany osobowości w społeczeństwie socjalistycznym”.

Nakładem „KIW” ukazały się także dokumenty i materiały z zakresu polsko-radzieckich stosunków gospodarczych w okresie od 1921 do 1939 r. Natomiast „Książka i Wiedza” przygotowuje kilkadziesiąt różnorodnych pozycji książkowych dotyczących problemów związanych z narodzinami państwa radzieckiego i jego rozwojem, a także z całokształtem współpracy polsko-radzieckiej. Będą się one ukazywać sukcesywnie w najbliższych miesiącach.

## Skarb Gdańska wrócił do macierzystej kasy

Przed kilku dniami w gdańskim ratuszu odbyła się uroczystość przekazania przez Ministerstwo Finansów części złotego skarbu pochodzącego z dawnej rezerwy złota Wolnego Miasta Gdańska. Skarb ten, w

wyniku wieloletnich, żmudnych negocjacji i wysiłków naszego rządu, na mocy decyzji trójstronnej komisji alianckiej, niedawno zwrócono Polsce. Zawiera on ok. 2,5 ton złota, w tym poważną ilość monet znajdujących się ongiś w skarbcu Wolnego Miasta Gdańska i jego Banku Emisyjnego.

Część złota przekazana zostanie na cele rekonstrukcji zabytków gdańskich. Przekazano również złote monety o unikalnej wartości numizmatycznej pochodzące z tego samego źródła.

## Sensacyjne znalezisko

Zachodniobrzeżni archeolodzy, prowadzący od kilku lat prace wykopaliskowe w dzielnicy Spandau, natrafili na nowe znalezisko, świadczące o istnieniu w tym miejscu w XI wieku miejskiej osady słowiańskiej. Wśród przedmiotów, których odkrycie określa miejsce prasa jako sensacyjne, znajdują się m. in. brązowe i złote ozdoby, części tarczy rycerskiej, należącej do któregoś z ówczesnych książąt. Dotychczas udało się odnaleźć tylko osiem tego rodzaju znalezisk — podczas prac wykopaliskowych w Polsce, ZSRR i Czechosławii.

Wyniki kilkuletnich badań archeologicznych, prowadzonych pod kierunkiem dyrektora Muzeum Prehistorycznego w Berlinie Zachodnim, prof. Adriana von Muellera, rzucają światło — jak twierdzi fachowcy — na nieznane karty dziejów osadnictwa słowiańskiego na tym terenie.

## INTERESUJĄCA WYSTAWA W WARSZAWIE

„Rysunek — gobelin” — to tytuł wystawy prac Ireny Brandl-Omlecińskiej, otwartej w Domu Artysty Plastyka w Warszawie. Ekspozycja obejmuje ok. 50 dzieł, wśród których znajdują się rysunki węgłem i ołówkiem, obrazy olejne oraz gobeliny.

# STEFAN ŻEROMSKI BIBLIOTEKARZ I BIBLIOFIL

Wydana w roku 1920 rozprawa Wacława Borowego pt. „Żeromski i świat książek” późniejsze, najcenniejsze przytoczone opracowania czy wydana niedawno książka Bartłomieja Szyndlera — przedstawiała nisza i o działalności oświatowej bibliotekarza i bibliofila, Stefana Żeromskiego, twópcy przedstawieli inteligencji polskiej przełomu XIX i XX wieku, który poprzez nieustanny kontakt z książką zdobył rozległą wiedzę historyczną, przez wiele lat pełnił obowiązki bibliotekarza, najpierw w Bibliotece Muzeum Narodowego w Warszawie, a następnie w Bibliotece Zamkowej w Warszawie. Brał także udział w pracach przy powołaniu do życia bibliotek publicznych w Zakonanie i Warszawie. Bibliotekarskie zajęcie Żeromskiego wywarło znaczny wpływ na jego poglądy i twórczość literacką, tak poprzez dogłębne studia źródłowe nad zagadnieniami polskiej myśli społecznej XIX w. czy obecność problematyki bibliotekarstwa i czytelnictwa, przewijającej się na

kartach jego utworów (Mogila, Promień, Szybyłowe prace, Ludzie bezdomni, Uroda życia, Nawracanie Judasa, Siła, Słoneczko, Z odzyskiem, Przedwiośnie). Żeromski jest także autorem prac sensu stricte bibliotekarskich, opracowanego wraz z Zygmuntem Wasilewskim „Katalogu zbiorów Mickiewiczowskich, znajdujących się w Muzeum Narodowym w Raperswili” i publikacji dotyczących reorganizacji i przywrócenia losów muzeum i biblioteki.

Książka nasionowała go przez całe życie. Swoją pierwszą księgozbiór kompletował będąc uczniem kieleckiego gimnazjum. On też zainicjował powstanie tajnej biblioteki uczniowskiej. W Oleśnicy koło Sandomierza, gdzie przebywał jako oprytawy naukowej w domu Gustawa Zaborowskiego, prowadził prace oświatowe wśród chłopów, uwieńczona założeniem czytelnicy ludowej. Posada bibliotekarza w Raperswili w latach 1882—1896 to przede wszystkim praca, mająca na celu nadanie bibliotece rangi

# ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI, (sekretarz redakcji) Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGO RZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC.



# „BIZONY” BOJĄ SIĘ DESZCZU

Dalszy ciąg ze str. 1

— To niełatwy moment — powiedział mi kierownik Działu Produkcji Roślinnej w Ośrodku Postępu Rolniczego, inż. Kazimierz Tomczak. — **Bo nalożyły się dwa szczyty: żniwny i paszowy. Ale to dopiero początek intensywnych prac, których spieniężenie spada u nas jesienią. Żniwa zaś, jeśli tylko jest dobra pogoda, nie sprawiają nam większych kłopotów.**

Bratoszewicy rolnicy skończyli już zbiór rzepaku. Także sprzęt słomy rzepakowej dobiegał końca. W tym samym czasie trwał drugi pokos żyta na kiszoncek, kombajny zaś poddawano ostatnim przeglądom przed wejściem w zboże. Miało ono nastąpić za 2 dni. Czekano jeszcze, aż zboże „dojdzie”. Tym bardziej że nasienne, kwalifikowane. Takie musi być dojrzałe i suche. Nie ma żartów... Czekano też chyba i na ludzi. Tylko, że oni, po prawdzie, nie mieli skąd, ani jak przyjść.

— Brakuje nam 10 na dzień, ale i 20 miłoby co zrobić — żalił się inż. Tomczak. — Żeby nasi nie musieli robić po 12 i więcej godzin na dobę. Na 620 ha przypada u nas 56 osób, łącznie z produkcją zwierzęcą. To za mało. Więc nie możemy pozwolić sobie choćby i na dzień „luzu”.

Dużo w tym roku mówi się i pisze o akcji żniwnej junaków z OHP. Ponoć nie brak ich tam, gdzie najtrudniej. Nie dotarli jednak do podłódki wiat. Natomiast już w Bratoszewicach potwierdziła się ogólnopolska tendencja: lepsze niż w ubiegłym roku techniczne przygotowanie do żniw.

— A samo zboże? — rozpytywałem. — Czy tegoroczne chłody i deszcze wpłynęły na jakość zbóż? Uspokojono mnie, że nie spowodowały one dużych strat. Jedynie zwiększą pracochłonność sprzętu zbóż. Na to, co można by skosić w godzinę, trzeba będzie poświęcić więcej czasu. Bo zboże jest zwichrowane, wygnięte. Całe jednak szczęście, że chłody i deszcze przyszyły tu po kwitnieniu zbóż.

Ale pierwsze, szacunkowe oceny plonów w Bratoszewicach wskazują, że rok ten będzie w planach zboża uboższy o jakieś 5 q z hektara w porównaniu z rokiem 1976. Za to więcej powinno być paszy zielonej. Odrotnie zatem się wszystko układa niż w zeszłym roku.

Jednak w Bratoszewicach o planach jeszcze było za wcześnie mówić. Co gorzej, nie można było tego jeszcze zobaczyć.

Pojechałem dalej, do Jackowic, by... natknąć się na to samo.

Spółdzielnia Rolnicza w Jackowicach leży za Łowiczem, o 2 km w bok od trasy E-8. W drodze, słuchając komunikatu radiowego o zbliżających się od zachodu deszczach, widziałem pola, z których chłopci zbierali już żyto na wozy. Spodziewałem się zastać to samo w Jackowicach. Czerpanym z doniesień prasowych optymizmem, chciałem zagłuszyć jakoś znany od dawna fakt, że w indywidualnych gospodarstwach żniwa zaczynają się zwykle tydzień wcześniej.

W Jackowicach powiedziano mi, że zbiór rzepaku dobiega końca, że skończono go z 40 ha. Tego właśnie, upalnego dnia, kończono zwózkę rzepakowej słomy. I też czekano. Co prawda, deszczu nie było tu już od 3 dni, ale gleby za to cięższe, zboże wolniej dojrzewa. Rzepak tu gorzej obrodził o prawie 8 q z hektara. Dłużej kwitnął, a z powodu deszczów i chłodu niektóre plantacje trzeba było po prostu zorać! To zaś opóźnia.

Żniwa opóźniał także drugi pokos siana, który i tu, podobnie, jak w Bratoszewicach, właśnie ruszył. W zbożu (mają go w sumie na 45 ha, przy czym żyta 35 ha) dużo deszczowych szkód: „wieruchy”, „kominy”, jak powiadają, kosa nie ruszysz, a kombajnem „dudłanie takie”. Bo poletka

szatkowane, kombajn więcej ma przejazdów między nimi niż roboty w polu.

Jackowickie „Bizony” były jeszcze w rzepaku. W zboże wjechać miały jutro. Więc i tu przybyłem za wcześnie... Zastanawiałem się właśnie, dokąd ruszyć dalej, kiedy ode mnie przelatywał chłopaki, wołając: — „BIZONY” chodzą w Zdunach!!!

Pierwszego zobaczyłem już przy piaszczystej drodze, którą trzeba było wycofać się na szosę, w stronę Zdunów. „Chodzą” na działce Stanisława Białasa.

— Kiedym zamówił kombajn? Dziś żem zamówił — powiada. — I kombajn zaraz przyszedł. Bo ja członek spółdzielni jestem.

W zeszłym roku zamiast żyta Białas zasiał na swych 40 arach pszenicę. I w tym roku też zasieje pszenicę. Będzie na „własne potrzeby”. A na co miłoby być z takiego skrawka ziemi? Kombajn obkosi go w kilkadziesiąt minut.

Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Zdunach usadowiła się za cmentarzem. Ośrodek spory, a jeszcze się rozbudowuje. Piętrowy biurowiec już podciągnięty pod dach. Pod murem rząd „przyczep” i stary, zakurzony „Vistula”. W murywanym baraku socjalnym szatnie, łazienki i świetlica. Kwietyńki dosyć zadbane.

Dyrektor Henryk Guzek zdaje krótką relację.

— Sprzęt mieliśmy gotowy już właściwie w marcu. Snopowiązalkami kosimy 5 dzień, ale zboże kombajnami dopiero drugi. Wczoraj był początek, trochę awarii, dziś ruszyło już całą parą.

Tutejszy SKR świadczy usługi w pracach polowych, w transporcie i w remoncie sprzętu rolniczego. Prócz tego ma własne gospodarstwo zespolone na 90 ha (w tym 46 ha zbóż), hodowlę trzody chlewnej, opas młodego bydła. Obsługę i sprzęt daje na 2.700 ha, czyli prawie na połowę uprawnej ziemi w gminie (gospodarstw jest tu dużo — 1.600). 700 ha daje się skosić 6 kombajnami, resztę — 40, snopowiązalkami. Sprzętu, łącznie z 6 prasami zbierającymi, starcza na pokrycie potrzeb. A do chłodzi przeciwdeszczowe spręży indywidualny, bo pęd do maszyn był tu i jest nadal duży, a chłopci dość zamężni (przeciętne gospodarstwo ma 6 ha, a większość ponad 7 ha). Tyle, że sprzęt to stary, wycofany z pęgerów na Ziemiach Zachodnich, mechanicy mówią o nim pogardliwie:

— gros, to trupy...

Z POM w Piotrowicach jest łączność bezprzewodowa; dobył z POM. Bierze na siebie najczęstsze awarie, robi też remonty.

— Jeśli pogoda dopisze, to tymi wszystkimi silami — obiecują dyrektorzy — zakończymy zbiór żyta w tydzień, a jęczmienia i pszenicy — do połowy sierpnia.

Do kombajnistów pojedzie ze mną dyrektor do spraw technicznych, Edward Skwarna. Czekam trochę, bo dyrektor od piątej na nogach, musi zjeść obiad. W dodatku opóźnienie żniw wywołuje teraz zakłócenia w harmonogramie zapisów. Pierwsi rolnicy byli zapisani na 26 lipca. Ale zboże było jeszcze zielone. Kombajny ruszyły w trzy dni później. Teraz niektórych trzeba przesunąć, wyregulować harmonogramy prac.

Pierwszego kombajnistów łapiemy niedaleko Zdunów, przy samej autostradzie. Zostawił kombajn i poszedł na obiad.

— Karasek, półtora tysiąca kosztuje godzina pracy! — woła dyrektor. Kępny, umorusany kombajnista wyskakuje z chalupy, wycierając brudną ręką usta. Karasek skończył właśnie jedno pole, dyrektor daje mu 20 minut na przejazd na następne. Kombajnista zabiera się, narzekając:

— Co za robota, przejazdów więcej niż samej pracy. Nie mam nawet czasu się ogolić. Rodzina zupełnie mnie nie widzi.

Fakt, działki są małe, a odległości

spore. Dyrektor wyciąga plik zamówień: 20, 30, 60, 40 arów, rzadko trafia się więcej niż hektar.

Zbliża się południe, a Walenty Oleczek kosi dziś już trzecie półko. Nie minęły nawet 3,5 godziny pracy! Łatwo sobie wyobrazić, jak rozdrobione są te działki. Kombajn zatrzymuje się, Oleczek zeskakuje. Wokół porządnie przószy, więc oczy osłonięte ciemnymi okularami. Na głowie słomkowy kapelusz, ogorzala, zarosnięta twarz.

— Wszyscy nasi kombajnści i traktorzyści biorą udział we współzawodnictwie o tytuł najlepszego żniwiarza w województwie — mówi dyrektor. — Jest ono u nas międzybrigadowe, ale na takie poletka trudno stać brygadę kombajnów. Za to indywidualnie w zeszłym roku Muras był w województwie drugi wśród kombajnistów, a inny nasz traktorzysta — trzeci. Norma kandyda, to 200 przepracowanych godzin...

Na to Oleczek powiada:

— Jak będzie pogoda, wyrobie ponad 200!

A 200 godzin, to ponad 2 tygodnie wyteżonej pracy!

W przelotach „między „Bizonymi”, dyrektor Skwarna zaznaja mnie z historią SKR. Powstał 1 stycznia 1974 r. Tegoroczne żniwa są więc czwartymi w jego krótkich dziejach. O ile jednak podczas pierwszych żniw SKR służył 100 rolnikom, w 1977 r. na jeden kombajn przypadało 10 razy więcej zamówień!

Rolnik Stefan Tarkowski, u którego pracuje na kombajnie Oleczek, jest zadowolony z usług SKR:

— Oprócz tego, że linia telefoniczna zerwana, bo dla kombajnu za niska, kłopotów żadnych. SKR zawsze punktualnie wypełnia moje zamówienia.

Podobnych opinii słyszałem więcej. Trudno być niezadowolonym. Stawka 1.100 zł za godzinę pracy kombajnu nie jest wygórowana. Zamawiać kombajn po prostu opłaca się. Rolnik nie musi już stawiać w stogi czy kopki, zwozić do stodoły i młócić. SKR też chętnie za niego przewiezie mu ziarno do domu.

Do Józefa Bińczaka droga nieco dalsza. Trzęsiemy się niemiłosiernie na polnych wertepach. W gminie dużo zrobiono już dla poprawy dróg. Zrobiono, mimo trudności ze zdobyciem dobrego tłucznia (z Marciszewa), niedostatku transportu i braku wykonawcy. W tym roku planuje się tu budowę 7 km, 3 już zrobiono. Mieszkańcy wsi, do której poprowadzona będzie droga, muszą sami rozładować materiał w wagonów i przygotować drogę w stanie surowym. Rejon Drog Publicznych kładzie twardą nawierzchnię. Z wolna drog przybywa.

Z daleka majaczy w białym pyłe zwalista sylwetka „Bizona”. Kombajnista Henryk Furmanek wjeżdża już w ostatni pokos. Nim zawróci w naszą stronę, słuchamy Józefa Bińczaka:

— Trochę licho się tnie, bo poległo — mówi. — Ale dobrze, że jest sucho, że kosi się w samo południe.

— Jednak zboże jeszcze trochę mokre — odpowiada dyrektor. — Trzeba to było się spieszyć? Nie mogło jeszcze na polu doschnąć?

— Jakby przyszedł deszcz, już bym nic nie zebrał...

Spotkani dotąd kombajnści należą do zakładu w Zdunach. Natomiast wicemistrz województwa z zeszłego roku, Adam Muras, pracuje w filii SKR, w Zakładzie Usług Mechanicznych w pobliskim Złakowie Kościelnym. Ponoć dziś jest z kombajnem gdzieś na Retkach. Niełatwo go będzie tam znaleźć, toteż z ZUM zabieramy kierownika, który pokaże nam miejsce.

Na polu Urbanka zebrało się akurat paru rolników. Najbardziej głośny z nich jest gospodarz:

— U mnie pierwsze kombajnowanie było w 1969 r. Oddał koszę tylko kombajnem. Ale z kółkiem rolniczym

to różnie bywało. Przez 4 lata nie zdążyłem zrobić podorywek. Za długo czekałem na maszynę. Przedpłatę przyjmowali, ale na moje 4 hektary im się nie spieszyło. Teraz od trzech lat mam tego samego kombajniste. Bardzo dobry! Posłuszny, nie porywaty...

W gminie, podzielonej na trzy rejon, działają trzy jednostki gospodarki upełnionej. Ziemię powyżej 2 ha, zgodnie z krajowymi przepisami, przekazuje się kłosem z gospodarstw. W ubiegłym roku PKZ przyjął 6 tys. ha ziemi, za renty i z wykupu. Ale plan nie został zrealizowany, bo wielu rolników nie ma tu tytułów kwalifikacyjnych. Zorganizowano więc kursy, na które uczęszcza ponad setka osób. 30 z nich, to ci, którzy chcą właśnie uporządkować sprawę sprzedaży ziemi.

Urbank skarży się na tutejszy GS „Kochanym” władzom SKR przeciwstawia personel spółdzielni, który, jak powiada, cały by trzeba zwolnić. Z prezesami na czele.

— Bo jak to? — mówi. — GS zboże bierze od rolnika, a do żniw, do kombajnu groza nie chce dorzucić, nawet głupiego sznurka?

Dyrektor Skwarna wyjaśnia mi na boku:

— Ten „głupi” sznurak kosztuje 230 złotych za kłosek. Do podniesienia głosu Urbanka dołączają się inni:

— Trzy razy więcej zboża ponad normę odstawiłem do GS. Syna na dodatek mam w wojsku. Ale jak poszedłem do spółdzielni, to dla mnie przydziałowego węgla zabrakło...

Na polu u Urbanka ktoś ma propozycję:

— Czy nie byłoby lepiej, skoro już jest tutaj kombajn, żeby od razu skosił i na moim polu? Sasiaduję przez mielizę!

Dyrektor zasłania się planem. I słusznie. Dał słowo kilku innym, że „Bizon” przyjedzie jeszcze dziś do nich. Nie można naruszać harmonogramu, skoro terminy napięte.

— Każdemu nie dojedzie — mówi dyrektor. — Umów musimy dotrzymać. Wiece o tym dobrze. Jak też o tym, że takich czasów dla wsi, jak dziś, nigdy jeszcze nie było! Obstąpimy wszystkich, ale po kolei...

Kombajnista Adam Muras jest szczupły, niewysoki, bardziej niż skromnie prezentuje się przy wielogłuchym „Bizonie”. Jest zazenowany, gdy pytam go o współzawodnictwo. Tymczasem, choć to dopiero początek żniw, „wyrobił” już 70 godzin.

— Już 5 rok jeżdżę na tym „Bizonie” — mówi. — Każdy ma tu swój kombajn. Przywiązuje się do niego, „czuje” maszynę, słyszy, jak „chodzi”. Miałem dotąd tylko jedną awarię, ale łatwą ma prawo wypaść po tylu latach.

W gminie Zduny działarsko zabrano się do żniw. Kombajnści dobrze oceniają przygotowanie sprzętu, rolnicy — pracę kombajnistów. Dyrektorzy SKR — współpracę z rolnikami. A jak przygotowanie do żniw i ich przebieg ocenia się w Urzędzie Gminnym w Zdunach? Mówi naczelnik Mieczysław Bogusz.

— W całej gminie pracuje 15 kombajnów, sporo snopowiązalek. W ubiegłym roku przy 13 kombajnach, dostarczyliśmy do magazynów ponad 500 ton ziarna, choć mieliśmy duże szkody po burzy z gradobiciem.

Sekretarz Biura Urzędu Gminnego — Piotr Olejniczak uzupełnia:

— Szacujemy plony na około 28 q z hektara, w przybliżeniu, bo zależą one od jakości gleb. A mamy w gminie 85 proc. gleb klas od II—IV. Jesteśmy gminą typowo rolniczą.

— Oprócz tego — dodaje naczelnik — liczą się w województwie nasze uprawy warzyw — na około 350 hektarów.

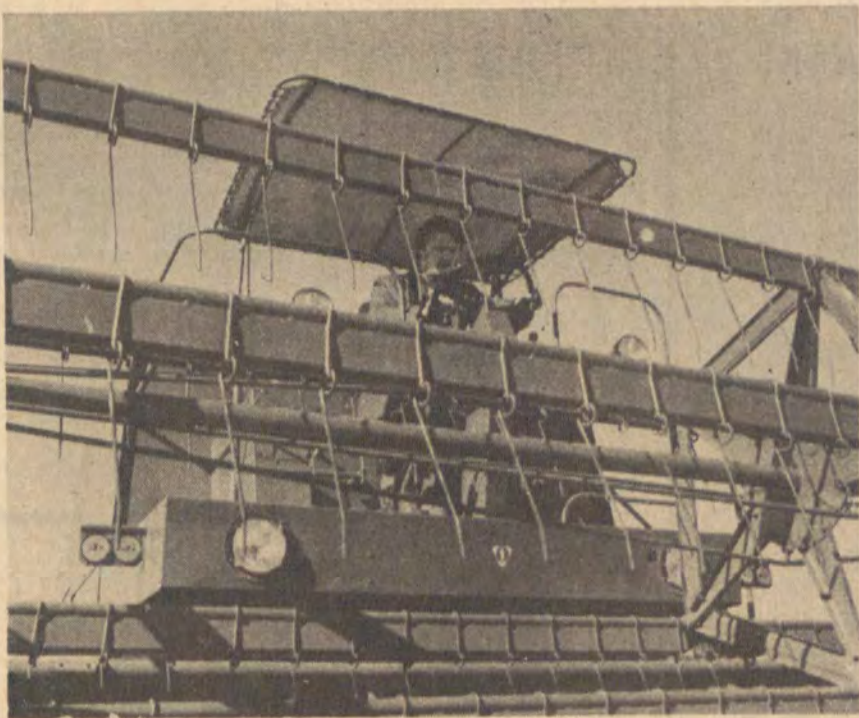


Foto: L. Janczak

Zawierucha Baru, doświadczenia walki o naprawę, następnie zaoferowanie i dzyskanie niepodległego bytu Rzeczypospolitej, boje Legionów i nieiszczzone nadzieje, jakie ożywił cesarz Francuzów — wszystko to było bardzo wiele, jak na zbiorową biografię jednego pokolenia Polaków. Ludzie tej generacji przeżyli wielokrotnie więcej, aniżeli jakiegokolwiek poprzednie pokolenie. Historia nie przechodziła mimo nich, nie byli oni tylko biernymi świadkami jej dokonywania się. Oni ją świadomie tworzyli, często biorąc tudzenia za rzeczywistość szanse, chociaż ich wielostronne wysiłki tylko w niewielkiej mierze osiągnęły swój cel. W aktywnym uczestnictwie w dokonywającej się historii w świadomości ludzi tego pokolenia następowały ważne przemiany. Rozwijano się i utwierdzano w nich przekonanie, że nie wystarczy już się urodzić szlachcicem, aby być w pełnym tego słowa znaczeniu Polakiem. Dojrzało przeświadczenie, że o przynależności do polskiej wspólnoty narodowej decyduje nie posiadanie szlacheckiego herbu, ale stosunek do wszelkich ogólnonarodowych wartości, tych właśnie o które toczyła się walka. Doświadczeniem tego pokolenia stało się utwierdzenie przekonania, że być Polakiem, znaczy to — tak jak to było następnie w całym XIX stuleciu — nie godzić się z konsekwencjami politycznego upadku polskiej państwowości i zabiegać — pracą i walką — o jej odzyskanie.

Przemiany świadomości, dokonujące się w pokoleniu Polaków, którzy uczestniczyli w wydarzeniach epoki stanisławowskiej, napoleońskiej i Królestwa Polskiego, sędzić można w rozmaitych sposób. Z pewnością doskonałym kluczem do ich zglebienia jest dokładne przypatrzenie się biografii wybitnych statystów owej epoki. Nie chodziłoby w takim wypadku, rzecz zrozumiała, jedynie o sumienne zestawienie życiorysowych faktów, choć będzie to z całą pewnością konieczne. Fakty w historii znaczą jednak dopiero wówczas, kiedy historyk zadaje im odpowiednie pytania. I dlatego tak trudno jest robić ambitną historiografię. Do najtrudniejszych zaś do konsekwentnego zrealizowania zadań należy opracowanie takiej historycznej biografii, która zdołałaby przez pryzmat indywidualnych losów jednostki, ukazać ogólniejsze problemy i wydarzenia dawnej epoki, nie tracąc przy tym z oczu ich bogatego indywidualizmu.

Udało się to z pewnością Władysławowi Zajewskiemu w jego monografii „Józef Wybicki”, wydanej niedawno (1977) przez wydawnictwo „Wiedza Powszechna”. Autor „Mazurka Dąbrowskiego” nie miał jakos ostatnio szczęścia do historyków, choć się oni nim interesowali. Wydana przed kilkunastoma laty monografia p. Jadwigi Lechickiej okazała się, delikatnie mówiąc, sporym niewypałem i tak właśnie została oceniona przez krytykę. Obszerny, nagromadzony przez uczonych materiał, nie mógł jakoś dobrać się do czytelników. Podjął się tego W. Zajewski, który nie ograniczył się do wyszukania tego wszystkiego, co już dotąd zebrano. Przeprowadził badania uzupełniające w zbiorach krajowych i zagranicznych co pozwoliło mu — zwłaszcza praca w archiwach francuskich — na rozszerzenie zakresu posiadanych informacji i wyjaśnienie szeregu istotnych dla biografii J. Wybickiego zagadnień.

Chyba jednak nie warstwa „faktograficzna” jedynie — tak skrupulatnie opracowana przez W. Zajewskiego — stanowi o wartości tej książki. Sadzę, że zasadnicze pod tym względem znaczenie miała umiejętność zorganizowania obszernego, choć niekiedy — ze względu na stan źródeł — fragmentarycznego materiału, którym dysponował autor, podług nowoczesnego, uwrażliwionego na rzeczywistość wozła w problematykę historyczną kodu pytań badawczych.

Krótko mówiąc, poznał choć trochę epokę Oświecenia i zastanawiał się nad jej znaczeniem w dziejach naszego państwa i narodu, czyta monografię W. Zajewskiego pod pewnym, szerszym kątem. Jest to bowiem w moim rozumieniu — a spodziewam się, że także w koncepcji autora — nie tylko książka o wybitnej postaci naszych dziejów w tamtej epoce, jaka bez wątpienia był J. Wybicki. Jest to dla mnie praca o dramacie pewnego pokolenia Polaków: ludzi aktywnych, biorących się za bary z przeciwnościami losu, doświadczeniych raz po raz gorzycy niepowodzenia, ale przecież nie zalamujących rąk, poszukujących w każdej sytuacji optymalnych środków dla osiągnięcia celu swego działania: ocalenia, a następnie odzyskania niepodległego bytu Polaków. Jest to dla mnie praca o przemianach polskiej świadomości narodowej, ukazanych przez pryzmat indywidualnych dziejów jednostki.

„Wybickiemu, wychowanemu w „epoce świateł” — powiada W. Zajewski — nie była obca bodaj żadna humanistyczna dziedzinia aktywności ludzkiej. Interesowało go prawo i poezja, teatr i architektura, ekonomia polityczna i geografia historia i archeologia „zoologia i kultura antyczna. Ale naprawdę to miał on tylko jedną miłość: politykę. Na początku swych wspomnień, już w trzecim zdaniu pisał, że „odwieczne przeznaczenie” skierowało go na tory polityki, dramatyczne zaś konsekwencje tej działalności odczuwał przez całe życie zasobne w burze, tułaczkę i bledę. Owo „odwieczne przeznaczenie” to po prostu dramat bezpośrednio przeżywanego — upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej”.



ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI  
GŁOS ABLA

Zabiłem ciebie — ja, twoja ofiara.  
To jeszcze większa od twojej jest słabość.  
Jestem ci teraz — uprzykrzona mara —  
utrata wiary w dnia zwykłego radość.

Ta moja zbrodnia, gorsza niżli twoja,  
o wiele większe niesie okrucieństwo,  
bom ci zostawił w dniu powszednim bojaźń,  
aby go zmienić w rozpacz i przekleństwo.

Popatrz kim jesteś, a wiesz, żeś ty nikim.  
Znikną zbawienia i wieczne cierpienie.  
Jesteś słumionym do szaleństwa krzykiem,  
własnego lęku udręczonym cieniem.

Zabiłem ciebie, ja, twoja ofiara.  
Zbrodnia za zbrodnię to najlepsza kara.

KAIN WSPÓŁCZESNY

Jak ci powiedzieć, że straciłem wąż...  
ten najważniejszy — sens mego życia.  
I jestem teraz jak drewniany świątek  
co i bez wnętrza jest i bez oblicza.

Jak ci powiedzieć, moja biedna matko,  
że w codzienności jestem jak codzienność,  
nie ma już tego, kogoś pokochała,  
a zatem komu dochowujesz wierność?

Noc pochylała się do mego czoła  
i tak posepny, stoję w nią wpatrzony.  
Czy dobrze słyszysz? On jeszcze mnie woła?

Kim jest ten chłopak bółem rozogniony,  
który z cierpienia chciał zmyć rany świata?  
Nie mna na pewno. Więc... Zabiłem brata.

KAZIMIERZ OSTASZEWICZ

GARŚĆ PIASKU

To przyszło wspomnieniem  
zapachniało jak oddech lata  
zaspiewało suchym piaskiem ze Swibna

był czerwiec  
nad Wisłą kwitły głogi  
a na wydmach  
viola tricolorata

W garści piasku zamknęłaś czas  
i nasze prywatne pół świata  
ziarna uciekały jak chwile

był czerwiec  
nad Wisłą kwitły głogi  
a na wydmach  
viola tricolorata.

ZŁOTY MOST

Chciałem dogonić lato  
na końcu alejki padał deszcz i stałaś Ty  
spadały złote liście w błoto  
a wszystko było jak zieś sny  
mówi —

poliska jesień ziłota  
i zanim powiedziałaś

Po złotym moście Twoich włosów  
goniłem lato wspomnieniami  
kaczeńców słońca mehu i wrzosa  
kajak całował się z trzcinią  
a rozochrane głowy sosen  
patrzyły złotych pni sękami

Po złotym moście Twoich włosów  
goniłem lato wspomnieniami.

PIOTR PERZ

Mrok Odległe kroki Szloch i śmiech  
Nostalgia w parowozowni Drzemiacze  
Zastygłe pożegnania Czai się obojętność i  
mrok Złodowacali Dotykali Dyszy  
stałowy cerber Butwiejał drzewa  
Szloch i śmiech

Pędza nocne pociągi  
i cóż jest ważniejszego  
niż nocne pociągi  
Gwizdzą na trójce święta  
Przelatują niby wielkie kuznie  
rozpalają horyzont  
To linie papilarne świata  
To facet dorzucający węgiel  
To niedopalki ciskane w noc  
To człowiek co prętem  
właza ciału snod kół  
i cóż jest ważniejszego  
niż nocne pociągi

Stali oparci o zielono-białe pło-  
tek i sączyli butelkowe piwo.  
Taka krótka chwila wytchnienia  
przed następnym wozem zboża,  
jednym z tych ostatnich, bo koń-  
czyli się żniwa.

— Wiesz Józek, ja takiego  
skurczybyka to bym za te, no  
wiesz, powiesił niech by...  
— Eee Stachu, ja bym go nad  
tą stodołą na wielkim drągu za-  
haczył niech by mu się te jaja  
przypiękały.

— A wiecie na pewno, że to  
on? — zapytał trzeci.  
— Jak nie mamy wiedzieć —  
oburzył się Józek — przecież ta  
stodoła stała jakiejś czterdziści  
kroków od szopy i obie zapalili  
się równo jak świece. Chłopy sta-  
ły przy remizie za rzeką i wi-  
dziali. Obie równo. To nie żaden  
wczasowicz. To on.

— Może masz rację — upierał  
się Ignac — ale po co było mu  
palić?

— Po co? Dla uciechy. Dla  
zgrzywstwa. Co mu tam. Sie-  
dział trzy lata to może se posie-  
dzić i pięć i dziesięć, a nie wia-  
domo czy znowu nie zwieje jak  
teraz. A zresztą jeszcze go nie  
złapali. To jest dobry as.

Zamilkł nagle. Przed sklepem  
zatrzymał się parokonnny wóz.  
Wysoki woźnica zlął spokojnie z  
kupki zgrabów i zdjął kapelusz.

— Witajcie — powiedział.  
— Witaj — odrzekł chórem po-  
chylając głowy. Tamten pokuśty-  
kał powoli w stronę sklepu, po  
chwili wyszedł z dwoma bo-  
chnami chleba i butelką piwa.

— Wy już po żniwach, że tak  
balujecie? — zagadnął podchodzą-  
co do stojących.

Milczeli jakby przyłapani na  
czymś bardzo paskudnym.  
— Co wy tak na mnie jak na  
raroga, języka w gębie zapom-  
nieliście? — uśmiechnął się nie-  
szczerze.

— Nie. My sobie ینo tak... Ja  
mam jeszcze dwie tury żyta. Sa-  
mej miszery z Piasków — uspra-  
wiedliwiająco tłumaczył Stachu.

— Nie o to idzie — odezwał się  
poważnie Ignac — tylko wiesz,  
Wojtek, ludzie i do twóim chłopaku  
takie różne rzeczy gadają.

— Jakie rzeczy? Powiedziecie,  
jakie rzeczy?

— A wiesz, powiem ci otwar-  
cie — zamilkł na moment i tam-  
ci milczeli także zainteresowani  
jakobi nagle piwem, jakby nie  
chcieli nic wiedzieć o tym, co  
zostanie powiedziane za chwilę.

— Powiem ci otwarcie — ciągnął  
w skupieniu Ignac — ludzie mó-  
wią, że te pożary to sprawa  
twojego syna. — Stali teraz we  
czwórce patrząc sobie w oczy. I  
cięża była wielka. Daleko za wi-  
śniowym sadem hałasował traktor.

Dym z kominą szedł prosto  
w górę, na pogodę.  
— Zapalisz — Ignac wyciągnął  
sporty i obczestował dookola.  
Wydmuchiwali w sierpniowe cie-  
plo osty dymek.

— Jutro ludziska skończą —  
przerwał milczenie Józek — dym  
idzie prościółko jak sosna.

— Pewnie, że skończą. Ale nie-  
długu pokos siana i znowu, i  
znowu od początku — przegady-  
wali się nawzajem. Było im jed-  
nak niezręcznie jakoś mówić i  
zamilkli na powrót. Stary wylał

resztę piwa pod płot i powiedział  
smutnie.

— A z tymi pożarami i z moim  
chłopakiem to być może prawda.  
Tylko, że on nie jest już moim  
synem.

Odstawił butelkę do stojącej  
obok skrzynki i ruszył zgarbio-  
ny w stronę wozu.  
— My tobie Wojtek nie chcieli  
dogadać — zawołał Ignac — my  
wiemy jak ty był i jaki jesteś.  
Tylko sam wiesz, co to jest sto-  
dola ze zbożem, sam wiesz...

Wracal leśną drogą. Konie szły  
równo polyskując kragłymi za-  
dami.

— Co ja zrobiłem ziego — my-  
ślał — że los mnie pokarał tym  
dzieckiem.

Jelenie. Trzasnęło kilka gałęzek  
i znowu zapanowała cisza dojrze-  
wającego, złotego lata.

— Może siedzi tu gdzieś, w kó-  
rymś zagajniku, jak zwierzę, w  
krzakach. Bez odzieży i pienięd-  
zy, bo te zrabowane na pewno  
już przepuścił i co ma? Co ma?  
Jego dziecko, tak zmarnowane  
głupio. Zmarnowane w ciągu  
trzech lat, a staranie o nie było  
tak długie... Ile wstydu przyniosł,  
gdy pokazywał pierwszy raz, jak  
wszedł pomiędzy kratami do skle-  
pu. Dookoła zbiegowisko ludzi.

Wolali. Bielewski! Bielewski! aleś  
żedł cwanak. A on, gospodarz  
szanowany przez wszystkich, dal-  
by się porąbać jakby miał sudzą  
złotówkę wziąć, na stare lata do-

kradkiem dają. Gdyby dzieci  
tamtego wiedziały, przeklełyby  
mnie, na pewno by przekleły.  
Niech się wynosi. Niech idzie,  
gdzie chce, gdzie go oczy po-  
niosą. Niech go złapią, niech się  
dzieje, co chce, tylko ja nie mo-  
gę powiedzieć przecież że przy-  
chodził, nie mogę wydać, zdradzić  
własnego dziecka.

Konie przeszły przez otwarte  
szeroko wrota i zatrzymały się  
same przed stodołą. Dopalał się  
dzień. Z łak ciągnęło bydło,  
poszczeakiwały psy. Dym dalej  
szedł równo w górę, na pogodę.

Przy kolacji zapytał żonę:

— Przyjdzie dzis?

— Przyjdzie — odpowiedziała  
cicho.

— To dobrze — podparł brodę  
zaciśniętymi kulakami i zniuru-  
chomiał patrząc w stół.

Dochodziła już północ, gdy usły-  
szeli lekkie stukanie w okno od  
strony lasu.

— Przeszedł — szepnęła gorą-  
czkowo matka.

— Otwórz mu — powiedział  
głuch.

Tamten wlaźł przez okno i stanął  
na środku pokoju. W przes-  
saczającym się przez wierzchołki  
świełek księżycowym świetle  
dostrzegli zaróżnioną twarz syna.

— Dawajcie zarcie i splywam.  
Glinarzy dookoła jak mrówek!

Stary stał milczący, nieporuszony.

— Przecież miałeś się stąd wy-  
nosić — powiedział.

— Nie dało rady ojczulku. Trze-  
ba by było z pół wiochy skro-  
cić, żeby zrobił szparę. Obstawili  
wszystkie drogi.

— Nie dostaniesz chleba! Nie  
nie dostaniesz — krzyknął nagle  
stary jakby wykrzyzczał chciał  
gniew i strach, całą boleść i bez-  
silie.

— Co ty mówisz ojciec — roz-  
szochana się matka — swojemu  
dziecku już jeść nie dasz. Co ty?  
Ojciec!

— W oknie błysnęło światło  
reflektorów. Z samochodu wys-  
koczyły sylwetki milicjantów.

— Do komórki Jerzyk! Szybko  
— krzyknęła matka.

Zamknęła drzwi za synem i  
przeszli do kuchni. Oczekiwali w  
milczeniu.

— Dobry wieczór — powiedział  
sierżant Maleski. Jeszcze nie śpi-  
cie?

— Nie śpiemy — odpowiedziała  
matka.

— Wiecie, w jakiej jesteśmy  
sprawie. Waszego Jurka szukamy.  
Miał was dziś odwiedzić. Praw-  
da?

— Nie nie wiemy, gdzie on  
jest. Boże, Co my biedni  
tymy z tym dzieckiem — la-  
mentowała.

Stary milczący cały czas z za-  
ciętą, poszarzałą twarzą odezwał  
się cicho.

— Przesłała matka. On jest  
tam — i wskazał drzwi komórki.

Kiedy dwóch milicjantów wy-  
prowadzało Jerzyka, stary powtar-  
zał w kółko kilka słów, jakby  
sam do siebie, do syna, do chy-  
ba nie słuchal, a on powtarzał:

— Chleb podpalili, stodołę w  
żniwa, podpalili, chleb podpalili...  
podpalili... Jerzyk...

ZBIGNIEW ADAMSKI

PODPALIŁEŚ

Miał przecież zawód i pieniąd-  
ze, mógł robić w piekarni, jak  
mu gospodarstwo śmierdziało  
gnojem. A nie chciał. Jakby go  
pole gryzło. Nie kochał ziemi ani  
trochę — przypomniał sobie —  
gdy szli do łąki, albo żyta i jak  
on wtedy patrzył z tym gryma-  
sem, z uśmiechem takim, jakby  
powiedzieć chciał, i tak gównu  
będziesz z tego miał ojciec. Za-  
wsze wtedy kark mu sztywniał  
nagle i mało brakowało a trzep-  
nąłby ostro w ładniętą gębę  
chłopa, ale nie zrobił nigdy  
tego, przecież jego dziecko. A  
może należało skuć ryja, groza  
nie dać, w trepy ubrać i o chleb  
kazać prosić... że ludzie by mó-  
wili, co z tego... Wtedy cichy był-  
by i poszanowanie dla pola by  
znalazi, a jak dla pola, to i do  
ludzi, do wszystkiego co cudze.

Konie szarpnęły i poszły klu-  
sem. Równoległe do piaskzystej  
drogi, skrajem lasu smignęły dwa

czekał się tego, żeby patrzeć u-  
kradkiem zza płotu plebanii na  
ten pokaz jak jego chłopak prze-  
laź przez kraty na polemiewisko  
całej wsi. Nawet jak później kwit  
podpisywał, to wstręt brał na  
własne nazwisko i ręka drżała.  
Po roku znowu miał nadzieję.  
Odszedł swoje. Oducają go lek-  
kiego chleba. Powrócił, ludzie za-  
pomni. Obejmie gospodarstwo,  
ożeni się, może i wnuczek się  
trafi, jakby tak chłopak zdrowy.  
To miaby kto nazwisko podtrzy-  
mać i w przyszłości naprawie  
wszystko, co ten zepsuł. Ale gdzie  
czuł, że stało się coś złego. Sta-  
ło się. Uciekł z więzienia i oka-  
lecył zdułwieka, może nie  
chciał tak bardzo, ale skaleczył  
na całe życie, ojca trojga dzieci.  
— I po co go tutaj przyniosło?  
Ludzie się boją wejść do lasu, a  
milicja się boją wejść do lasu, a  
milicja krazy, a ja mu chleb u-

KSIĄŻKA

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

ZMIANA ROLI

Parafrazując tytuł pierwszej —  
i kto wie czy nie najbardziej  
charakterystycznej — powieści  
Juliana Kawalca rzecz można; iż  
twórczość jego pozostaje nie-  
zmienne „tematowi przypisana”.  
Stanowi spójną niezwykle całość,  
rozpiętą na kilka podstawowych  
problemów. Przewodzi jedną z  
wersji tak modnego od lat i  
uwarunkowanego określonymi  
przesłankami społecznymi oraz  
literacką tradycją nurtu wiejs-  
kiego w naszej prozie. Wersja  
ta ukazuje przede wszystkim  
rozliczne kłopoty związane z  
przejęciem ze wsi do miasta. W  
dorobku Kawalca wygląda to na-  
stępująco (przypominam tu, co pi-  
sałem przed kilku miesiącami z  
okazji jubileuszu sześćdziesięciole-  
cia autora). Wieś i miasto w tej  
twórczości, to dwa światy zupeł-  
nie odrębne i raczej nie do po-  
godzenia. Ich wyróżnikami są  
nade wszystko sprawy moralne i  
obyczajowe, stąd też najtrudniej-  
sze z konfrontacji swoistej pro-  
sty i nieskoczki z destrukcyjnym  
molechem miejskim okazują się  
psychologiczne uwarunkowania  
przejęcia ze wsi do miasta. Owo  
przejęcie, konsekwencja społecz-  
nych i gospodarczych przeobra-  
żeń, stawia bohatera prozy Ka-  
walca poniekąd w sytuacji roz-  
dartej sosny: oznacza bowiem  
awans cywilizacyjny i kultural-

ny, ale jednocześnie stanowi u-  
cieczkę od dziedzictwa ojców, nie-  
sie z sobą kompleks „zdrady”. Bo-  
hater ten jest przecież „ziemi  
przypisany” i nawet wówczas,  
gdy potrafi bezwzględnie wyko-  
rzystać szansę awansu, to prze-  
cież poczucie obojętności w nowym  
środoisku, kompleks pochodze-  
nia, specyficzna wrażliwość do-  
starcząją mu aż nadto perypetii.  
Twórczość Kawalca jest jedno-  
cześnie przejawem konfrontacji  
wiejskich pokoleń — tego, które  
nie wdarło się do miast, na uni-  
wersytety i stanowiska, z pokole-  
niem wykorzystującym szansę,  
jaką dał czas „wywalczony” i  
stworzony bohaterstwem innych”.  
Ustawiczna konfrontacja to nie  
innego w gruncie rzeczy, jak roz-  
pamiętywanie dwudziestowiecz-  
nych dzieł wsi polskiej, jej  
emancypacyjnych ambicji i mo-  
żliwości spełnienia.

Najnowsza powieść odbiega nie-  
co od przedstawionego wzorca.  
Przekroczenie granicy między  
wsią a miastem, przepłynięcie  
symbolicznej rzeki, przyoblecze-  
nie nowej skóry, zdrapanie wre-  
szcie z twarzy ostatniej grudki  
ziemi interesuje autora w stopniu  
znacznie mniejszym niż dotych-  
czas. Ciężar problemu przesunął  
się w stronę nieustającej kon-  
frontacji pokoleniowej; ojca, za-  
pracowanego chłopca Suchego —

ryżawego, który pozostał na wsi  
i nie ma komu przekazać ziemi,  
oraz syna — ambitnego architek-  
ta, magistra inżyniera Przemys-  
ława Górniego. Właśnie, tym ra-  
zem spośród atrakcyjnych miej-  
skich zawodów wybrał pisarz a-  
depta architektury. Potrzebne  
jest mu to o tyle, że częściej  
niż poprzednio interesuje go ze-  
wnętrzny obraz wsi. Ale ani na  
chwile nie odchodzi od tylekroć  
już wypróbowanego, charaktery-  
stycznego sposobu ujmowania  
wiejskich spraw w myśl przekonania,  
że „wieś to nie tylko  
domy, ściany, dachy, kominy drzwi  
i okna... budynki to jeszcze nie  
wieś, wieś to głównie ludzie, to,  
co jest w nich, a czego się nie  
widzi, to jest myśl, obraz w czło-  
wieku”.

We wcześniejszych książkach  
autora „Tęcza” i „Jastrzębia”  
dramaturgie wydarzeń determino-  
wało odwołanie do uświęconego  
zwycajem trybu życia wsi, od  
dawnych obyczajów, mentalności.  
W „Oście” sprawa przedstawiona  
została a rebours. Dla człowieka,  
który po wiejskim dzieciństwie  
stał się pełnoprawnym obywatel-  
em miasta i cenionym (również  
za granicą) fachowcem, i wyżył  
się niejako kompleksów typowy-  
ch dla bohaterów poprzednich  
powieści — Andrzeja Tabora czy  
Michała Topornego — wieś pozos-  
taje ożywym matecznikiem,  
symbolem niezniszczalnych więzów  
z naturą. Dlatego — już jako ar-  
chitekt — broni siebie i innych  
od przerosłów i wynaturzeń cywil-  
izacji. I dlatego również cały  
swoją twórczość wysiłek projektan-  
ta porządkuje według zasady  
„Gdy spóźnione miasto stara się  
doprowadzić wsi”.

W „Oście” rolę się odwróciły.  
Już nie rodzice śledzą z niepokojem  
los syna w nieprzyjaznym  
ogniu dla przybyszów ze wsi

mieście. To raczej młody zdobyw-  
ca, chwytający pełnię życia, spraw-  
dza koleje losu tych, co na  
świat go wydal. Łaknie wszelkiej  
nowiny, łowi wszystkie odgłosy  
rodzinnej wsi, rekonstruuje nie-  
spełnione, dramatyczne zamiary  
Suchego — ryżego wobec nadob-  
nej (choć podobno głupawej) córki  
sąsiada, która jedyna dać mo-  
że staremu chłopu mocno spóź-  
nionego syna, upragnionego tylko  
po to, by odziedziczył całą zie-  
mię i wypełnił z niej najważ-  
niaisze okazy osu — symbolu, co  
„niby starzec patrzył ironicznie  
i złośliwie” i sa dla Suchego —  
ryżego nie do pokonania. Aż  
dziw bierze, jak dalece odwróciły  
się role. Młodemu Górnemu świad-  
omość plebejskiego pochodzenia  
w niczym nie przeszkadza. Oba  
mu jest też bolesna aż efektownie  
wcześnie przedstawiana świad-  
omość zemsty za urodzenie, któ-  
ra tak często spędzała sen z po-  
wiek bohaterowi powieści „Ziemi  
przypisany”. Swą drogę życiową  
traktuje zupełnie naturalnie, z  
wdziękiem, ale i codzienną zwy-  
czajnością. Pełni przy tym funk-  
cję spolegliwego obserwatora  
nieodczujmionej trochę miłoś-  
ci Suchego — ryżawego do ziemi.  
Jest świadkiem trwałości niektó-  
rych cech mentalności chłopkiej,  
a jednocześnie dowodem możliwo-  
ści radykalnego jej przezwycię-  
żenia.

Zmieniając trochę jakby neo-  
czekiwany kąt spojrzenia najno-  
wsza książka Juliana Kawalca  
zachowuje wszystkie cechy jego  
dotychczasowego piarstwa: pro-  
stotę języka, jasność stylu, prze-  
czynę myśli. Godnie kontynuuje  
wcześniejsze, wielokrotnie nagradza-  
ne osiągnięcia.

J. Kawalec, Oeet, PIW, War-  
szawa 1977, nakład 20.000 + 290  
egz., cena zł 25.



# CZTERY ROGI

Dalszy ciąg ze str. 1

chyba kazać mieszkańcom miasta, by objęźdzali je dookoła wówczas, gdy chcą się dostać z dzielnicy wschodniej do zachodniej.

II.

— A teraz, proszę wycieczki, obejrzymy sobie narożnik, który Główna ogranicza od północy a Sienkiewicza od zachodu. Na samym rogu wznosi się wcale estetyczny dom charakterystyczny dla komfortowego budownictwa mieszkaniowego sprzed lat czterdziestu: parter i dwa piętra, kremowo-szare tynki, duża okna. Na Główną spoziera tych okien dwanaście, na Sienkiewicza — cztery, ale nie ma już w nich szyb a przez okienne dziury widać, że ten całkiem chyba krzepki czterdziestolatek zaczyna być rozbierny. Widocznie zawadza, widocznie miejsce, które zajmuje będzie już niedługo potrzebne.

Na krótszej ścianie narożnego budynku widnieje napis: „Zakłady Przemysłu Welnianego im. A. Struga”, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie sądzi, że w tym właśnie budynku, za tymi typowymi dla sporych pokoiów oknami mieszczą się hale produkcyjne. Były tam biura zarządców a maszyny, krosna stały w budynku sąsiednim, wenslemion z czarnymi oknami przy ulicy Sienkiewicza sporym, typowym budynkiem fabrycznym mającym trzy kondygnacje, a na każdej z nich dwadzieścia dwa wysokie fabryczne okna. Fakt, iż zakopano gmach fabryczny dotyka komfortowego budynku mieszkalnego nie powinien nikogo dziwić, bo nie jest w tym miesiące niczym niezwykłym.

A teraz proszę spojrzeć na południową pierzeję ulicy Główniej, tę, która rozpościera się od ulicy Sienkiewicza do ulicy Włocławskiej. Za tą ścianą ciągnie się naprzeciw owego pustego terenu, wysoki i długi biały plot drewniany ustawiony z kwadratowych żali tak, aby można go było łatwo rozciąć i przemieścić w inne miejsce. Ten porządny parawan komunalny wykorzystywany bywa do politycznej agitacji czy handlowej reklamy, ale zasadniczym jego zadaniem jest zasłaniać nie najciekawsze widoki. Do niedawna jeszcze tę rolę spełniały stojące wzdłuż ulicy drewniane domki parterowe przykryte dwuspadowym dachem. Przed rokiem, mniej więcej, wszystkie one zostały rozebrane i okazało się, że poza nimi znajdowały się mało widoczne, brukowane podwórza ograniczone z boków murywanymi obiektywnymi mieszkalnymi a z tyłu jakimś plotkiem czy ogródkiem. Te właśnie widoki trzeba było zasłonić i dlatego stoi wzdłuż Główniej ów długi, biały parawan a za nim — kulkopietrowe kamienice: wąskie, piętrowe, szczerze zwrócone do ulicy, wszystkie one mają okna tylko w jednej ścianie, tej która zwrócona jest do podwórza; pozostałe trzy ściany są ślepe, bo dawniej prawo budowlane nie pozwalało na umieszczenie okien wychodzących na posesję sąsiada.

Czemu nie budowano tych kamienic od frontu, wzdłuż ulicy? A chyba dlatego, że z frontu już wcześniej wzniesiony był — drewniany, parterowy, z dwuspadowym dachem właściciele posesji i miejsce frontowe było już zajęte.

III.

— Panie — mówi mi dozorca obmiatający zagracoane podwórce — zakładów to tu już dawno nie ma. Tyle, że na dole był sklep fabryczny.

— A napis? — pytam.  
— Napis? — dozorca przystanął i spojrzął na mnie rozbawiony. — Powiem panu, co z tym napisem: na pamiętkę został. A w halach fabrycznych są składy „Pewexu”.

Dyrekcja zakładów znajduje się na Gdańskiej 80 i podlega jej kilka rozrzuconych po całym mieście oddziałów, ale żaden z nich nie leży przy ulicy Sienkiewicza.

Przy pierwszej okazji wracam do dozorczy, który właśnie jest mniej zajęty i skłonniejszy do rozmowy. Dowiaduję się, że w tym czerwonym budynku dawno temu znajdowała się tkalnica wełny i cerowalnia Raschiga; Raschig także przez samą wojnę wybudował sobie tę narożną kamienicę. Po ostatniej wojnie Raschiga diabli wzięli, a do fabryki przyłączono kilka mniejszych i tak powstała „Fabryka nr 5 Łódzkiego Zjednoczenia Przemysłu Welnianego”. Starzy tkacze i cerowaczkę nie lubili tej nazwy i nadal mówili, że pracują „u Rasiga”. No, a potem, coś tam znów przekombinowali i „Fabryka nr 5” zmieniła się w Zakłady Przemysłu Welnianego im. A. Struga, których biura przeniosły się jeszcze później z tej dwupiętrowej kamienicy na Gdańską. Tylko sklep fabryczny „Merino” został na parterze, ale teraz to i po sklepie śladu nie będzie.

Po tej rozmowie z dozorcą przypomniałem sobie, że przecież kilka dni temu słyszałem w Dzienniku Telewizyjnym, że już niedługo „Strug” opuści swą obecną siedzibę — chyba „siedzibę” — i przeniesie się na Dąbrowę do nowo wzniesionych i nowo wyposażonych gmachów kombinatu przemysłu welnianego. Jak wyglądać będzie ta nowa siedziba „Struga” nie wiem. Wiem natomiast jak wyglądała nowa siedziba znanych z produkcji płaszczy Zakładów Przemysłu Odzieżowego im. Próchnika, które do niedawna mieściły się na Sienkiewicza opodal czerwonego gmachu zbudowanego przez

Raschiga. Wsoki, nowoczesny, ze szkła i betonu wzniesiony gmach stoi nad dolinką Jasieni przy nowoczesnej arterii, wśród ogródków działkowych. Na pierwszy rzut oka można uznać, że jest to budynek mieszkalny o wysokim standardzie

IV.

— Następnego narożnika, proszę państwa, to ten, którego granicą wschodnią jest Sienkiewicza a północną — Główna. Nie przypomina on żadnego z omówionych poprzednio. Jak widać stało tu coś na samym skrzyżowaniu chyba jeszcze niedawno, ale ślad tylko po tym czynił został: jakieś szkielet fundamentów niewielkiego domu widoczne na narożniku, przez który regularnym łukiem przebiega od Główniej do Sienkiewicza niegłęboki wykop przygotowany chyba do tego, by dwie czy trzy szeregi stoja na podwórzu nie istniejącego już domu. Wkrótce też chyba zniknie ostatni ślad po płocie, który pewno biegł tu przy chodniku wzdłuż ulicy Sienkiewicza; można teraz z tego chodnika bez trudu wejść do niewyścieżonej ogródka, w którym rośnie kilka drzew, a w głębi stoi parterowy domek czy składzik z niezabezpieczonymi niczym otworami drzwi i okien, przygotowany do rozbiórki.

Za tymi drzewami i tym domkiem czy składzikiem widać państwo wznoszący się w górę wieżowiec Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej budowany równoległe do ulicy Sienkiewicza, ale w pewnym od niej oddaleniu, odsunięty od starej linii regulacyjnej. Frontowa ściana wieżowca jest już olicowana płytami ściennymi, szczytowa — równoległa do Główniej — tworzą tylko pionowe słupki i poziomy podpartych nimi stropowych płyt. Ponad kalenicą przygotowaną do rozbiórki domku nalozęć można pętnasde czy szesnaste kondygnacje tego wieżowca, proporcje między tymi dwoma budynkami są wprost groteskowe. Dalej w głąb wznoszą się wieżowe trzeci czy czwarte kondygnacje — tak już jest zwyczajem, że dźwigi malują się na żółto — służących budowie innych bloków Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Jak państwo widać to bloki budowane są w środku kwartału ulic. Było tu — jak się okazuje — sporo miejsca, choć tu właśnie od niedawna jeszcze mieściły się i pracowały Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. A. Próchnika.

Popatrmy teraz jak wygląda nasz narożnik od strony ulicy Główniej. Odgądną państwo łatwo, że chodnik biegnący od skrzyżowania ku zachodowi mijal niedawno jeszcze trzy czy cztery parterowe domki, których teraz już nie ma i wzdłuż chodnika przy parterowej murywane domy; widać stąd dobrze szczytowa ścianę najbliższego, który w trójkącie mieszkalnego poddusza ma jedno okno pod samą kalenicą dachu a kilka niżej — nad dachami tych trzech weteranów — dźwigi i budowane przy ich pomocy wyniosłe mieszkalne bloki. Dalej ku zachodowi interesujący nas chodnik biegnie w górę kilku trypietrowych, odgranych i sfatygowanych kamienic, pamiętających na pewno pierwszą wojnę światową a może i wydarzenia rewolucji 1905 roku. Sąsiedztwo intensywnie rozbudowywane Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej nie wroży tym budynkom długiego życia.

V.

Kiedy ludzie w zakurzonych kombinatach i białych hełmach rozbiegali stojące przy Główniej domki wiatr, niosł po ulicy tunany kurzu, a niedługo przechodźnięt wruszał ramionami i pytał — sam siebie lub sąsiada, jeśli akurat ktoś mu towarzyszył — czy jest sens rozbierać zamieszkałe do niedawna domy i przenosić wykwaterowanych z nich ludzi do nowych mieszkań. Wiadomo przecież jak jest w mieście z mieszkaniami, ilu zapisanych do spółdzielni całym latami czeka na przydział.

Usłyszałem kiedyś takie pytanie i musiałem przyznać, że rozbiórka każdego domu uszczupla istniejącą w mieście „substancję mieszkaniową”. Pomyślałem też, że ta „substancja” to przecież suma bardzo różnych jakości. Składają się na nią i pokoje w eksploatowanych jeszcze starych domkach sprzed stu przeszło lat i pokoje w wielkomiejskich kamienicach pamiętających rok 1905 i — wreszcie — pokoje w blokach wzniesionych ostatnimi laty.

Gdyby komuś czekającemu na mieszkanie zaproponować dwa-trzy pokoje w parterowym, przypominającym dworek domku, to ten ktoś oburzyby się i obruszył. Także i mieszkanie w starej wielkomiejskiej kamienicy nikogo nie tentuje i nie dziwnego.

Żaden z przechodniów irytujących się na widok robotników rozbierających stare domki przy Główniej czy nieco młodsze od nich kamienice przy Sienkiewicza nie chciałby w nich zamieszkać. To nieprzekonanie o likwidacji czegoś wartościowego irytowało ludzi; gdyby tempo budowy nowych mieszkań było wydawniejsze to rozbiórki chałupki i kamienice budziłyby tylko uznanie.

Kilkanaście dni temu spotkałem pana Kazia; stał na skrzyżowaniu Główniej — Sienkiewicza i spozierał na dźwig windujący jakąś płytę na szesnaste ohyba piętro budowanego bloku.



Foto: W. Parys

— Dotąd — powiedział — tylko burzyli i burzyli. Teraz budują.

— Co pan opowiada — zachnąłem się. — Sam pan mieszka w nowym osiedlu...

— Nie powiem — zgodził się pan Kazio. — Na przedmieściach pobudowali dużo. Ale w śródmieściu dopiero niedawno zaczęli.

Miał rację.

VI.

Narożnik ówczarty i ostatni, ten zamknięty od wschodu ulicą Sienkiewicza a od północy Główną jest znów odmienny od pozostałych. Samo skrzyżowanie chodników wygląda podobnie jak poprzednie; nie zakurkowany kawał górej ziemi czy też gołego, wyrównanego rumowiska przekopany niegłębokim rowem biegnącym po czterech — jak jest półkole — to może być i czterokole — od jednej ulicy do drugiej. I obok wykopu leżą jakieś rury, jakies kable, które pewno zostaną wpakowane do ziemi i przysypane. Ale za tym wykopem zaczyna się coś ciekawego: jeszcze na żadnym z znanych nam już narożników nie widzieliśmy szeroki, płytami wyłożony chodnik zalążający się pod katem prostym razem z ścianami szkieletu ścianami budynku mieszkalnego na parterze sklep delikatesowy. Na poziomie pierwszego piętra witrzyni delikatesów ocienia taras czy balkon, za którego balustradą linia szkieletu wysokie ściany domu handlowego; napierw linia szkieletu a potem ciepła się kremowo-różowa, sięgająca gdzieś czwartego piętra kamieniaka okładzina. Na poziom balkonu wioda od strony Sienkiewicza biegi szerokie schody.

Z prawej strony tego szkieletu ścianiarożowego prostopadłością wznosi się stojący tuż przy ulicy Sienkiewicza znacząco wysoki pięciopiętrowy wieżowiec, wyglądający jak przekładaniec złożony z warstw oszklonych okien i brązowych płyt lśniących ściany liny wieżowca, chyba od tego pierwszego wyższy i ułożony z warstw szyb i zielonkawych okładz. W sąsiedztwie bezpośrednio z budynkiem mieszkalnym sklepy; ich równoległe do ulicy Główniej ściany są wyraźnie wyrównane. W tej samej linii nieco dalej ku zachodowi stoi trzeci wieżowiec — bliżniak tego szkieletowatego a między nimi dwa małe powstałe jak odpowiednik narożnego budynku sklepowego: kremowo-różowa okładzina jest już położona na ścianie, szyb okiennych jeszcze nie ma bo we wnętrzu, które będą one zamknięte krzątają się ludzie w granatowych ubraniach roboczych i białych hełmach. Podobnie odmienni ludzie krzątają się i za tym dalszym wieżowcem, gdzie także wyraźniej powstaje jakiś odpowiednik czteropiętrowych budynków sklepowych rysujący się tymczasem jedynie kratownicą stalowych słupów i belek wypełnianych dopiero cegłami czy pustakami. Wieżowiec-biurovec już stał dość dawno; domy handlowe dopiero są wykańczane: ironia! — a gdzie ich nie ma — twierdzą, że budowa rozpoczyna się już wkrótce, bo miały się w nich mieszkać — i mieszczą — biura jakichś zjednoczeń budowlanych a budowa sklepów, w których, jak wiadomo, pracownicy zjednoczeń budowlanych pracować nie będą śmiały się wyraźnie.

Przy delikatesach i magazynie ruch jest, jak państwo widać, dość żywy a dwa razy dziennie chodnik mrowi się ludźmi; rano, gdy do biurów wędrują pracownicy, po południu — gdy opuszczają je skończywszy prace. Wychodzą z nowoczesnych bloków i widać po drugiej stronie ulicy stare odgrane kamienice, z których najwyżej niższa jest od najniższego elementu nowego kompleksu.

VII.

W ostatnią niedzielę, gdzieś koło południa, okazało się, że w domu nie ma kawy. Oświadczyłem, że ja to załatwię. Ubrałem się, wsiałem w tramwaj i opuściłem go przy skrzyżowaniu Główniej i Sienkiewicza. Rażno pomazzerowałem w stronę bieżących witrzyn delikatesów, lecz z każdym krokiem traciłem pewność siebie. Do sklepu nikt nie wchodził ani nikt też z niego nie wychodził, drzwi były zamknięte a stojąca przed nimi kobieta wpatrywała się w wywiszoną za szybą tabliczkę. Podszedłem całkiem blisko i wtedy umieszczony na tej tabliczce napis powiedział mi, że w mieście dyżuruje dziś kilka sklepów delikatesowych, ale ten przed którym stoję — nie. Zdaje się, że zakląłem pod nosem

bo stojąca przed sklepem kobieta spojrzęła na mnie ciekawie.

— Byłem pewien — powiedziałem — że ten sklep dyżuruje. Dwa tygodnie temu...

— Dwa tygodnie temu też chyba był zamknięty — zauważyła kobieta. — W Wielkanoc wszystkie sklepy są zamknięte.

Uprzytomniłem sobie, że dwa tygodnie temu rzeczywiście była Wielkanoc i coś mi się musiało pokreślić. To stwierdzenie zachowałem dla siebie a mojej towarzysze niedoli oświadczyłem, że kawy muszę szukać gdzie indziej i wróciłem na przystanek. Po chwili znalazła się tam i ona.

— Jeszcze parę miesięcy nazad — powiedziała — dostał by pan kawę w sklepie, który był w domu na tamtych rożu. Sprzedawali tam w niedzielę też: kawę, wino, ciastka, tody i inne takie... Dużo ludzi tu przychodziło, bo to przecież wygodna. Nie podtrzymałem rozmowy, ale mojej towarzysze wcale to nie było potrzebne.

— Dom rozebrali to i sklepu nie ma — stwierdziła. — A znów w tej kamienicy naprzeciwko był sklep z towarami. Welnianymi. Sklepu nie ma a kamienicę tylko patrzeć jak rozbiorą. Tu gdzie stojmy, na tym rogu, to był kiedyś sklep ze spodniami i taki warsztat gdzie maszyny do pisania reperowali; domu nie ma, sklepów również nie ma. Po drugiej stronie był od Sienkiewicza sklep spożywczy a od Główniej rzeźnik i... Wróciłem do domu bez kawy, ale przeświadczony, że parę lat temu ulica Główna była — rzecz można — handlowym centrum miasta pełnym najrozmaitszych sklepów.

— Jakich tam znów sklepów — parskała ogardliwie żona. — To nie były sklepy a sklepiki, kłitki, ciupki.

Pomyślałem, że w tych domeczkach, które stały niegdyś na rogach skrzyżowania Główniej z Sienkiewicza dużych sklepów zmieścić nie było można. Zrozumiałem też, że w sprawie sklepów są dwie szkoły myślenia: jedna — zwolenników wielu małych sklepików reprezentowana przez spotkania przed delikatesami kobietę, druga — entuzjastów niewiele wielkich domów towarowych i do tej właśnie należy moja żona.

VIII.

Na planie Łodzi wydanym w 1985 roku skrzyżowanie Sienkiewicza i Główniej także chyba znajdować się będzie w jednym ze środkowych prostokątów. Pod tym względem nie przewiduję poważniejszych zmian. Nie podejmuję się natomiast prorokować o tym jak wyglądać będą za lat osiem czy dziesięć cztery rogi tego skrzyżowania gdyż trzy z nich będą niewątpliwie zgola inne niż dziś. Nie będzie tu już chyba wówczas niczego, co by przypominało ulicę, po której kłokotały zdążające do Rokiczin furgony. Czy to dobrze? Chyba tak. „Chyba” powiedziałam bo jednak byłoby źle, gdyby ktokolwiek mógł za lat dziesięć pomyśleć, że kształt śródmieścia wytonił się prosto i łatwo, że rodził się bez wysiłku i bólu jako rezultat zwykłego procesu ewolucji. Decyzja o rekonstrukcji miasta była decyzją rewolucyjną, a jej konsekwentna realizacja — rewolucyjnym przetwarzaniem historycznej spuścizny.

EDWARD SZUSTER

MIECZYŚLAW  
MICHAŁ  
SZARGAN

LATKI

ADRESATKI

NA CZUBACZYNSKIEGO Z  
PROŚBĄ BY SOBIE ODPOCZAŁ  
POD LIPĄ

Gościu mój, w cieniu mym  
spocznij,  
I ździebko sobie odpocznij.

CWYNAR O KLASIE

„Piosenkarz mojej klasy;  
Wisiori i obcasy!

NA AKTORKE  
ZDZIESZYŃSKĄ  
EWA,  
Spod charakterystycznego

drzewa.

KAWALEROWICZ NA PLANIE

„Gdzie są moi asystenci!!!“  
„O, tam stoją — ci nadęci!“

NA KŁOSOWSKIEGO  
Z OKAZJI „SREBRNEJ ŁÓDKI“

„Wkrótce,  
Odpłynę w tej łódce!“

NA DOBRE SERCE ROMA-  
NOWSKIEGO A PROPOS  
„SWIEŻO MALOWANE“

Guciu, bądź delikatny jak  
kwiaty,  
Ale do cholery i sękaty!

NA JÓZEFA MACIEJA KONO-  
NOWICZA

Chwileczkę...  
Diablu ogarek, Panu Bogu  
świeczkę.

NA NIENACKIEGO OSIADLE-  
GO NAD JEZIOREM „JEZIO-  
RAK“

Dobry jesteś jeziorak,  
A im ciebie tu nie brak.

NA KRYTYKA BŁAŻEJEW-  
SKIEGO

Czytuję,  
Cytuję.

NA MŁODEGO POETĘ JAS-  
KULĘ

Niech Jaskuła nie zadziera tak  
czołką,  
Jaskuła przecież jeszcze nie  
jaskółka.

NA SYMPOZJUM — „POWIĘŚĆ  
— KRZYŻ CZY ROZWÓJ“

Hela Mniszek na sympozjum  
przyszła,  
Posłuchała. Ziewnęła. I wyszła.

NA MALARZA HYŻEGO  
BYWALCA „KLUBU DZIEN-  
NIKARZA“

„To lubię;  
Zdrzemnąć się w Klubie!“

NA RYS. „ODGŁOSOWE“ JA-  
NUSZA SZYMAŃSKIEGO —  
GLANCA

W tym rysunkowym tańcu  
Za dużo glancu.



## SPORT

# ZMĘCZENI FUTBOLEM

Co się stało z Widzewem? — jest to pytanie, które ciągle zadają sobie kibice tej drużyny oraz sprawozdawcy sportowi. Krzysztof Maciąg tak też zacytował w „Przeglądzie Sportowym” swoje refleksje po meczu Widzewa z Górnikiem. A był to mecz, który Widzew wygrał i to po raz pierwszy wygrał z Górnikiem. Można byłoby więc mieć nadzieję, że kryzys minął, że Widzew powoli odzyskuje formę...

A więc, co się stało z Widzewem? — pytanie to zadałam trenerowi tej drużyny Pawłowi Kowalskiemu, bo ktoś jak nie on powinien znać na nie odpowiedź. Ale Paweł Kowalski dokładnej odpowiedzi nie zna.

— Gdybym to wiedział — powiedział otwarcie — to nie byłoby tego pytania. Nikt nie musiałby pytać: „co się stało z Widzewem?”

— Ale przecież Pan się też nad tym zastanawia...  
— Nie tylko ja. Zastanawiamy się wszyscy w klubie. Wiemy zresztą, że każda drużyna musi raz w roku przechodzić kryzys. Na początku tego roku LKS też miał taki kryzys, co odbiło się na wynikach aż siedmiu meczów. I Śląsk miał kryzys, przegrał cztery mecze pod rząd. Te listy można byłoby ciągnąć dalej...

— Czy takiego kryzysu nie można przewidzieć? Czy nie można temu jakoś przeciwdziałać?

— Mówiłem już o tym przy różnych okazjach. Dla mnie po prostu nasi piłkarze są zmęczeni graniem w pilkę. Maja jej dość. Proszę pamiętać, że od 26 lutego 1977 roku grają nieustannie. Maja za sobą piętnaście kolejek ligowych i pięć kolejek w Pucharze Lig. Mieliby tylko siedem dni urlopu. I na dodatek start był nie najlepszy.

— Przegrana z Arka?  
— Była fama, że Widzew u siebie nie przegrywa. I stało się. Wybito to niekorzystnie na samopoczucie piłkarzy. Miało to skutki w następnych meczach.

— A nie ma w tym trochę „zawrotu głowy od sukcesu”?

— Sukces bez wątpliwości odnieśliśmy duży. Cieszyliśmy się z tego, ale nie mogę powiedzieć, że drużyna przestała pracować. Pracuje nadal tak jak pracowała. Ale gra ciężko ten sam skład.

W dodatku nie omijają nas kontuzje...  
— ...oraz żółte i czerwone kartki. Czy nie widzi Pan słabych punktów w drużynie?

— Widzę. Przede wszystkim nie ma już takiej drugiej linii, jaka była kiedyś i która stanowiła oparcie dla ataku i obrony. A poza tym proszę nie zapominać, że nasza druga linia strzelała bramki.

— Czy klub nie myśli o wzmocnieniu drużyny?

— Myślimy i o tym, ale to jeszcze sprawy nie załatwione do końca.

— Byłby to jakiś bodziec, wprowadziłoby to też rywalizację. Drużyna chyba się trochę starzeje?

— To też prawda. A poza tym wszyscy są ciągle razem, porzyzywczajali się do siebie. To jest dobre, ale w pewnym momencie zaczyna przeszkadzać. I teraz chyba trochę przeszkadza.

— Niektórzy podejrzewają, że to, że szykujemy formę na mecz z drużyną z Manchesteru. Czy to prawda?

— Nie, bo to byłoby niemożliwe. Nie wierze w to, że formę można wywołać na czas. A poza tym my meczy ligowych nie traktujemy w sposób lekceważący. Zależy nam na dobrej lokacie w pierwszej lidze. I będziemy o nią walczyli.

— Co wiecie o swoim angielskim przeciwniku?

— W tej chwili jeszcze niewiele.

— I nie nie będziecie wiedzieli? Pojedziecie „grać w ciemno”?

— Nie. Jacek Gmoch zapewnił nas, że udostępni zespołowi wszystkie informacje, jakimi dysponuje on i PZPN. Zbięgniew Kocioliek jedzie z kamerzystą na najbliższy mecz do Anelli i przwiezie film, którym posłużymy się opracowując taktykę na mecz w Manchesterze.

— Czy to dobrze, że wylosowaliście takiego silnego i różnego przeciwnika?

— W moim przekonaniu dobrze.

— Dlaczego?

— Świadomość tego, że będziemy grali z silnym przeciwnikiem musi stać się bodźcem dla drużyny. Nie chcemy przegrać. Zespół musi więc grać mądrze. W meczu z Górnikiem pokazał, że potrafi grać mądrze, choć taka gra może się nie podobać kibicom. Do tego czasu wzmocnił się też druga linia. Wróca do gry zawodnicy kontuzjowani...

— Po wyleczeniu kontuzji oczywiście.

— To zrozumiałe. Wrócić też ukarani. Postaramy się nadrobić inne braki.

— Jakże?

— Drużyna nie ma jeszcze niezbędnej szybkości, niektórzy są ciarze jeszcze za mało zwinni. Te braki staramy się usunąć. A poza tym mamy jeszcze jeden atut. Anglii nie lubią grać z Polakami. Oni i my gramy bardzo różnymi stylami i im nasz styl po prostu nie leży. Trzeba to więc mądrze wykorzystywać.

— Nie muszę zapewnić, że kibice bardzo chcieliby, abyście wrócili z Anglii z punktami.

— Wiemy o tym.

Rozmawiała:  
BOGDA MADEJ

## HISTORIA WYNALEZKÓW



Foto: J. Kusztalick

Więści o wynalazku Thomasa A. Edisona dotarły do Europy na początku roku 1878 i natychmiast wzbudziły niezwykłe zainteresowanie. Pierwszy pokaz fonografu w Europie odbył się 1 lutego 1878 roku w Instytucie Królewskim w Londynie. Wobec licznego audytorium demonstrował go sir William Henry Preece. Prezentowany fonograf nie był oryginalnym modelem Edisona. Został skonstruowany pod kierunkiem brytyjskiego uczonego według otrzymanych od wynalazcy rysunków i opisu urządzenia. W pokazie uczestniczył znakomity fizyk angielski, John Tyndall.

Wkrótce przyrząd Edisona demonstrowano na zebraniu Stowarzyszenia Inżynierów Telegrafu w Londynie. Był to już egzemplarz, przywieziony ze Stanów Zjednoczonych wraz z nagraniami sporządzonymi w Ameryce. Odtworzono także utwór na miejscu hymn „God save the Queen”.

Więści o fonografie dotarły wkrótce na drugą stronę kanału La Manche. Pierwszy we Francji pokaz publiczny odbył się 11 marca 1878 r. w Academie des Sciences w Paryżu. Węgierskiego pochodzenia Amerykanin Puskas demonstrował oryginalny fonograf. Członkom Akademii przedstawiono wynalazek z przygotowanego uprzednio nagrania: „Fonograf ma zaszczyt złożyć uszanowanie Akademii!” Grono uczonych przyjęło powitania oklaskami i wybuchem homerycznego śmiechu.

### Ten aparat nie ma przyszłości

Około dwa miesiące później, ten sam agent przedstawił eksperymentalny model „płytowego” fonografu Edisona na posiedzeniu Towarzystwa Fizycznego w Paryżu. Puskas pokazał zgromadzonym kopertę nadeslaną przez wynalazcę. Zawierała ona folię cynkową z zapisem dźwięku. Gdy nagranie umieszczone zostało na krążku talerza, dały się słyszeć słowa Edisona, polecającego swój wynalazek uwadze świata naukowego.

Równocześnie, obok prezentacji wynalazku w środowiskach naukowych, zorganizowano na wielką skalę publiczne pokazy fonografu, wykorzystując okoliczności szczególnie sprzyjającą, jaką było otwarcie Wystawy Powszechnej w Paryżu wiosną 1878 roku. Ośrodek pokazów publicznych znajdował się w wynajętej sali wykładowej na Bulwarze Kapucyńskim. Organizatorem tej akcji był wspomniany Amerykanin Puskas. Seanse fonograficzne cieszyły się wielkim powodzeniem.

Pokazy publiczne fonografu były jedną z atrakcji Wystawy Powszechnej. Wystawa sprzyjała szerokiej popularyzacji tego wynalazku w Europie. Wkrótce jednak, podobnie jak w Ameryce, wygasło zainteresowanie niezwykłym przyrządem, który „mimo żywej reklamy podczas wystawy paryskiej, został prawie zapomniany, bo potrzebował wielu ulepszeń”.

Sir W. H. Preece, konstruktor pierwszego fonografu w Europie, który prezentował go na pokazie w Londynie, po dokonaniu szeregu prób i doświadczeń, orzekł:

— Aparat ten długo jeszcze nie będzie zdolny utrzymywać głosu Patti. Dokładniej mówiąc jest on w stanie odtwarzać parodię głosu ludzkiego (...). Jest więc naprawdę trudno zrozumieć to, co powiedziane zostało do przyrządu. Jeśli jakaś osoba wyjdzie z pokoju, a ktoś inny mówi do fonografu, to osoba ta z trudnością może zrozumieć, co przyrząd wypowiedział. Podobną opinię o fonografie opublikowała „Leipziger Illustrirte Zeitung” w sierpniu 1878 roku:

„Fonograf w swej obecnej postaci

jest zaledwie interesującą próbą. Przede wszystkim bardzo nierówne jest odtworzenie poszczególnych głosek (...). Nie ma sposobu na wieczne utrwalanie głosów takich śpiewaczek, jak Patti czy Lucca. Zdania wypowiedziane pełną siłą plus brzmia mniej więcej tak, jak słowa człowieka ochryplego. Odtworzenie zaś dłuższej wypowiedzi jest tylko pobożnym życzeniem. Wobec tego wielkie nadzieje i przesadne zamierzenia związane z fonografem leżą w krainie zamków na lodzie”.

### Głos zabiera Bolesław Prus

Na ziemiach polskich uważnie śledzono wszystkie ważniejsze wydarzenia w Europie. Więści o fonografie przenikały zaczęły do kraju już na początku roku 1878, a publiczne pokazy w Londynie i Paryżu pobudziły zaciekawienie prasy polskiej. Wystawa Powszechna w Paryżu stała się magnesem, który przyciągał uwagę polskiej opinii publicznej.

Dr Julian Ochowicz, w owym czasie docent lwowskiej Szkoły Politechnicznej, pisał na początku roku 1878, że „fonograf nie jest złudzeniem, że bez żadnych drutów (aluzja do niedawno wynalezionej telefony) będziemy mogli przesyłać myśli własnym głosem, raz na zawsze zapisane na pasku cynfolii”.

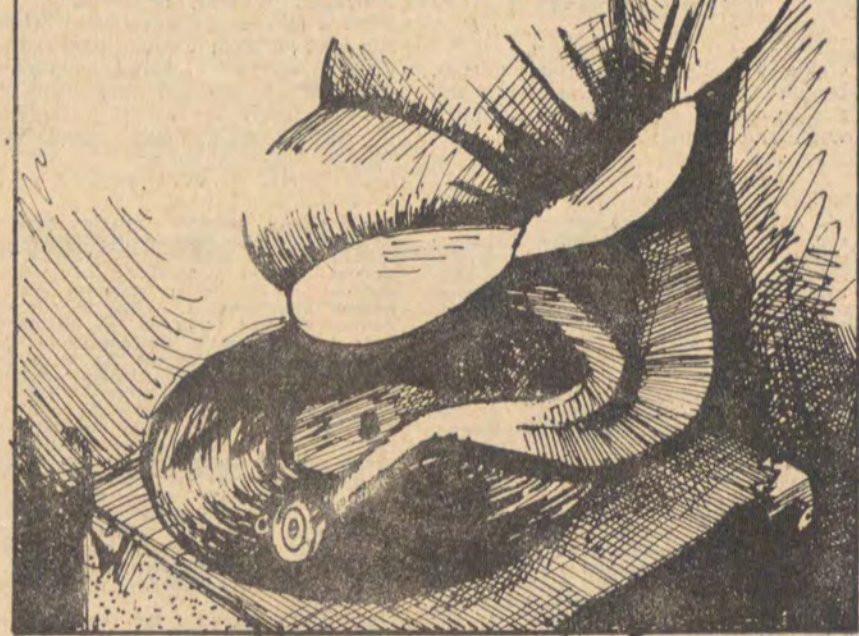
Na ten sam temat zabrał teraz głos kronikarz Warszawy, Bolesław Prus. Wyraził swoje najwyższe uznanie pisząc o fonografie, że „jest to niewątpliwie jeden z najwspanialszych i najdziwniejszych wynalazków, jakie kiedykolwiek świat widział”.

Uwagi Prusa spisane zostały z okazji pewnego wydarzenia. Do Warszawy miała przybyć na występy Adeline Patti. Znakomita śpiewaczka z jakichś powodów nie przybyła do stolicy. Melomani, oczekujący niecierpliwie na występ wielkiej gwiazdy operowej, czuli się zawiedzeni, a opinia publiczna wściekle wzburzona. Bolesław Prus więc pisał:

„Pani Patti nie chciała śpiewać w Warszawie, w każdym zaś razie żądała kilku tysięcy rubli za arię. Tymczasem przy fonografie głosu Patti stanie się tak tanim, jak śledzie za Żelazną Bramą, nawet w Mokrobodach. Dość bowiem będzie zamiast wymagającej artystki sprowadzić za kilka groszy skopiowaną na fonografie jej arię. Tym sposobem otrzymamy śpiew bez grymasów. Zresztą przyjdzie może i czas, że głosem primadonny obwiążać zaczęą bezpłatnie tabake”.

Atmosferę upojenia i promiennych horoskopów znaćcił grzmący głos doc. Zygmunta Wróblewskiego. Wybitny polski fizyk otrzymał mianem niezadługo katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie wspólnie z Karolem Olszewskim, także profesorem krakowskiej Alma Mater, wstąpił się o opracowanie metody skraplania gazów. Jesienią 1878 roku Z. Wróblewski przebywał w Strasburgu jako uczestnik międzynarodowego zjazdu przyrodników. Fonograf był ciągle tematem dnia, ale w kręgach naukowych opinia co do aktualnej jego

## KAZIMIERZ WODZYŃSKI WIELKI SPÓR O FONOGRAF



Rys. Janusz Szymański-Glanc

przydatności była daleka od entuzjazmu. W korespondencji ze Strasburga z 27 października 1878 roku Z. Wróblewski pisał:

„Rzeczywiście, w dziwnym żyjemy czasie. Od kilku miesięcy zaledwie (...) rozwinęła się szczególna mania do fantazji pseudo-naukowych, która powoli owładnęła umysłami nie tylko publiczności, lecz także i tych, których zadaniem byłoby prostowanie błędnych pojęć i rozpowszechnianie naukowej prawdy. Tygodniki, skądinąd bardzo szacowne (...), stały się teraz ogniskiem rozpowszechniania mrzonek, wypowiedzianych na serio (...).”

Szczególnie silnie grasuje w tym roku fonografomania (...). Świadczy ona bez wątpienia o wielkiej popularności wielkiego wynalazku (...). Lecz popularyzatorem (...) wypadłoby najprzód zastanowienie się, o ile ich twierdzenia odpowiadają prawdzie lub też są fizycznie niemożliwymi. Ile to razy na przykład zdarzało się nam czytać w artykułach pisanych tak za granicą, jak i w kraju, że fonograf pozwala, lub też wkrótce pozwoli, przesyłać w listach, kupować na lokcie, lub też nosić w kieszeni śpiew Adeline Patti albo deklamację nie mniej słynnej znakomitości ze wszystkichi zasobami uczucia, przejęcia się, zapalu lub też inteligencji (...).

Co się tyczy owych zasobów uczucia, zapalu i inteligencji, oddawanych jakoby przez fonograf (...), to piszący miał sposobność przekonać się (...), że o tym oddaniu uczucia itd. nie może być żadnej mowy, a to z tego prostego powodu, że fonograf nie jest w stanie oddawać wszystkich dźwięków, z jakich składa się ludzka mowa i robi z niej tylko mniej więcej udaną karykaturę (...).

Na początku roku 1879 obszerny artykuł na ten temat opublikował Bruno Abdank Abakanowicz, także docent Szkoły Politechnicznej we Lwowie. Abakanowicz był wtedy jednym spośród naukowców polskich, dla którego fonograf i technika zapisu dźwięku stały się tematem osobistych zainteresowań. Pisał on:

„Spomiędzy wielkich, a najnowszych wynalazków nie masz prostszego nad fonograf, a jednak nie masz także przyrządu, o którym by rozpowszechniano tyle fałszywych wieści, o którego działaniu pisanoby tyle absurdów, któremu by przypisywano takie niestworzone rzeczy (...). Barwę głosu dobrze zbudowane fonografy powtarzają z zadziwiającą wiernością. Naturalnie, że nie trzeba tylko wymagać za wiele (...). Fonograf daje nam jakby fotografie dźwięków bardzo podobną, ale nie identyczną z naturą (...). Chronoatocysty cynfolii wywołują uboczne rzeczy, siła głosu jest mniejsza (...). Zawsze przejawia się musza pewne niedokładności w budowie (...). Może przy użyciu lepszych materiałów wada ta zostanie usunięta...”

### Bolesław Prus jest rozczarowany

Konfrontacja opinii i poglądów z rzeczywistością miała miejsce podczas szeregu pokazów fonografu na ziemiach polskich. Pierwszy egzemplarz fonografu znalazł się najpierw we Lwowie. Zbudował go Bruno Abdank Abakanowicz na podstawie poczynionych obserwacji i rysunków. Fonograf działał całkiem zadowalająco, a mógłby działać zupełnie dobrze, gdyby dokładniej wykonano szczegóły. Miało to miejsce jesienią 1878 roku. Inż. Henryk Machalski, konstruktor własnego modelu telefonu, wygłosił prelekcję o fonografie.

Sam Bruno Abdank Abakanowicz wygłosił we Lwowie serię odczytów popularnych na temat najnowszych wynalazków i odkryć naukowych. 15 grudnia 1878 roku udał się z odczytem do Krakowa. Na zapowiadziany odczyt przybyła publiczność tak licznie jak nigdy dotąd. W części doświadczalnej przystąpił prelegent do prób z fonografem, które powiodły się najzupełniej i powitane zostały frenetycznymi oklaskami jako triumf nauki i prawdziwy cud akustyczny.

Więści o odczytach Abakanowicza we Lwowie i Krakowie dotarły do Warszawy. Spodziewano się, że i tu odbędzie się taki odczyt. W połowie stycznia 1879 roku znalazły się w Warszawie dwa fonografy. Oba były w prywatnym posiadaniu, dostępne co najwyżej wąskiemu gronu osób. Oba oglądał Bolesław Prus i publicznie dał wyraz swemu rozczarowaniu.

„Ten sam fonograficzny frazes — pisał — równie dobrze może być wzięty za krakanie, szczerkanie, trąbienie, chodzenie po pokoju, jak i za śpiew Adeline Patti wówczas, gdy ta pani, straciwszy kiedyś — czego Bóg nie dopuści! — głos i majątek, znajdzie się w przykrych konieczności ożywiania talentem swoim uroczej ciszy krucht kościelnych, vulgo babcieńców”.

Około połowy lutego nadszedł do jednego z kupców warszawskich transport fonografów, przeznaczonych do sprzedaży. Pomysł produkcji, sprzedaży i wynajmu fonografów był z pewnością przedsięwzięciem intratnym, ale pozostawał w kolizji z prawem. Nie bowiem nie wiadomo, że by Jakub Piłk, który fonograf do Warszawy sprowadził, posiadał odpowiednią licencję patentową. Nie pozostała natomiast bez echa oferta wynajmu do domów prywatnych. Skorzystał z niej mogli co prawda jedynie ludzie bardzo zamożni, ale Jakub Piłk na to liczył. W kronikach miejskich zamieszczono wzmianki o takim pokazie, który urządził podczas rautu w swych salonach jeden z miejscowych arystokratów.

W tym samym czasie zjawili się w Warszawie niejaki Luzianowicz z fonografem Edisona, wyposażonym w napęd sprężynowy i szereg innych ciekawostek technicznych. Pokazy Luzianowicza nie cieszyły się jednak dużym powodzeniem. Świadczy o tym jego krótki pobyt w Warszawie i niewielka ilość przedstawień.

### A jednak...

W marcu 1879 roku o fonografie mówił w Warszawie prof. Eugeniusz Dzieuulski — popularyzator nauki i pracownik Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Prelekcja ta wywołała liczne polemiki prasowe, jako że prof. E. Dzieuulski fonograf krytykował. Zimą 1879 roku dotarł do Warszawy — po pobycie w Poznaniu — Amerykanin H. Hervas, który również demonstrował fonograf. Ale pokazy te nie wzbudziły większego zainteresowania.

Minął okres powszechnej fascynacji fonografem. Zadziwiający ten wynalazek raz jeszcze oczarował młodych ludzi, powrócił triumfalnie na szpalty gazet, stał się podniecającym tematem rozmów towarzyskich. Ale nastąpić to miało dopiero po dziesięciu latach, po czasie, w którym w ciszy laboratoriów pracowano nad udoskonaleniem techniki zapisu i odtwarzania dźwięków.



ADAM CZERSKI

# POKEROWE ZAGRANIA

W tym samym czasie, gdy Kair trawili płomienie, król świętował. Dla uczczenia narodzin swojego syna, następcy tronu księcia Fuada, Faruk zaprosił blisko 600 oficerów na śniadanie do pałacu Abdin, położonego załedwie kilkadziesiąt metrów od ogarniętego pożarem centrum stolicy. Nikt jednak, przynajmniej pozornie, nie wydawał się tym przejmować. Kiedy o 13.30 minister spraw wewnętrznych usiłował połączyć się telefonicznie z szefem sztabu armii egipskiej, aby uzyskać poparcie na rzecz interwencji sił zbrojnych w tłumieniu rozruchów, oficer dyżurny wyniosłym tonem odpowiedział:

— General znajduje się w towarzystwie Jego Wysokości.  
— Proszę więc ostrzec również króla.

— To niemożliwe: Jego Wysokość wydał rozkaz aby mu nie przeszkadzano.

Dopiero kiedy ambasador USA w Egipcie Jefferson Caffery poinformował króla o ruchach wojsk brytyjskich ze strefy Kanalu Sueskiego w kierunku Kairu, monarcha zdecydował się przedsięwziąć jakieś środki. Ale kiedy ok. 17.30 armia egipska pojawiła się na ulicach Kairu, dzielnice zniszczenia dobiegały już kresu. Dzielnice zabitych, tysiące bez dachu nad głową, czterysta obiektów użyteczności publicznej dotkniętych skutkami pożaru, oto bilans owej tragicznej „czarnej soboty”.

Nie ulegało wątpliwości, że Faruk celowo opóźnił podjęcie jakiegokolwiek akcji ze strony wojska nie będąc pewnym czy nie obróci broni przeciw niemu. Poza tym była to przecież rozgrywka z rządzącą partią Wafd i jej przywódcą, premierem Nahas Paszą. Walkę tę król wprawdzie wygrał dysmisjonując premiera, rząd, zawieszając konstytucję i wprowadzając stan wyjątkowy, lecz zdecydowanie przegrał inną batalię — o nastroje społeczeństwa. Te były bowiem zdecydowanie przeciwko niemu, bowiem wszyscy doskonale orientowali się, z czyjego polecenia Kair stanął w płomieniach. Faruk oczywiście zdawał sobie sprawę, że sytuacja dojrzeła do rewolwy i postanowił uderzyć w potencjalny według niego ośrodek opozycyjny tj. w armię.

Świadomi nadciągającego niebezpieczeństwa „Wolni Oficerowie” postanowili wkroczyć na scenę. 10 lutego 1952 r. w dwa tygodnie po „czarnej sobocie” Gamal Abd el-Nasser zwołał posiedzenie Komitetu Wykonawczego Związku. W swym wystąpieniu stwierdził:

— Wszystkie w Egipcie jest ogarnięte zgnilizną. Tylko my sami je-

steśmy zdolni do wyrwania naszej ojezyny z tego chaosu.

Dziewięciu oficerów-pułkowników („bikbaszi”) tworzący Komitet Wykonawczy zaakceptowało „sześć punktów” — ogólnikową płaszczyznę polityczną określającą główne cele Związku Wolnych Oficerów. Ich treścią była walka przeciwko kolonializmowi, imperializmowi, monopolom, walka o silną armię, sprawiedliwość społeczną i demokrację. Wobec nasilającej się inwigilacji władz, spotkania sondażowe organizowane przez „Wolnych Oficerów” z innymi przedstawicielami armii musiały się odbywać przy zachowaniu maksymalnych środków ostrożności, a każda z rozmów była starannie kamuflowana. Spiskowcom chodziło bowiem o znalezienie wojskowego, który z racji swego stanowiska, aurytetytu i poglądów nadawałby się na „szteńdar” przewrotu. Jednakże większość generałów choć przekonana o konieczności zmian politycznych w państwie nie traktowała „Wolnych Oficerów” zbyt poważnie. Toteż na jednym z kolejnych posiedzeń kierowniczego gremium organizacji, które odbyło się 9 maja 1952 r. Nasser podsumował sytuację następująco:

— Wszystkich tych generałów należy zostawić w spokoju: my jesteśmy zbyt młodzi a oni zbytini się boją. Czołową postacią ruchu musimy uczynić kogoś, kto byłby raczej przeciwną jednostką. Uczciwy generał, w miarę sławny i niezbyt ambitny najlepiej by się do tego nadawał.

Na najbliższym posiedzeniu komitetu „bikbaszi”, 15 maja 1952 r. wybór padł na generała Muhammada Nagibę, z którym współpracował jeden z przywódców Związku Wolnych Oficerów Hakim Amir. Nagib przekroczył właśnie pięćdziesiąt lat i cieszył się opinią człowieka uczciwego i patrioty uznano więc, że jest dostatecznie poważny by przyjąć ruchowi niezbędnego aurytetytu.

Do pierwszej próby sił między or-

ganizacją „Wolnych Oficerów” a królem doszło podczas wyborów przewodniczącego Klubu Oficerów w Kairze. Pozycja prezesa klubu cieszyła się dużym respektem w armii, mógł on bowiem oddziaływać politycznie na korpus oficerski. Król wysunął na to stanowisko kandydaturę gen. Sirri Amira, natomiast Wolni Oficerowie gen. Nagibę. Wybory zakończyły się dla Faruka zdecydowaną porażką, jako że Nagib otrzymał 85 proc. głosów, a kilku członków Związku Wolnych Oficerów weszło w skład egzekutywy klubu. W rezultacie król unieważnił wybory i zagroził Nagibowi „zesłaniem” do oddziałów wojskowych na pustyni, jeśli nie złoży rezygnacji z prezesury. Było to dla Nasserę sygnałem do przyspieszenia terminu przewrotu, który miał dokonać się w pierwszych dniach sierpnia. Jednak w tym samym czasie wywiad „Wolnych Oficerów” doniósł o planowanej przez Faruka zmianie rządu. Stanowisko premiera miał objąć zaciekle wróg organizacji gen. Sirri Amir. Jednocześnie rozeszły się pogłoski o mających nastąpić w połowie lipca aresztowaniach oficerów o postępowych przekonaaniach. Toteż Nasser postanowił jeszcze bardziej przyspieszyć wybuch powstania. Należało ustalić tylko datę dnia „D”.

20 lipca 1952 r. uczestnik spisku i przyjaciel Nasserę pułkownik Sarnat Okasha poinformował przywódcę Związku Wolnych Oficerów o królewskim planie powierzenia funkcji ministra obrony swemu kuzynowi pułkownikowi Sherinowi. Krok ten oznaczał początek rozprawy z „Zobab el Ahrar”. Nasser wysłuchawszy tej wiadomości z ust Okashy, po chwili milczenia podjął decyzję:

— Bardzo dobrze. Skoro chcą wojny, to ją będą mieli. Nie zaatakujemy, jak to było planowane, w dniu 5 sierpnia: do działania przystąpimy w ciągu najbliższych 48 godzin.

Jeszcze tego samego wieczora między godziną 19 a 21 Gamal Abd el-Nasser, Abd el-Hakim Amer i pułkownik Kamal Hussein zebrali się na naradę w budynku szkoły oficerskiej w Kairze. W trójkę utworzył sztab powstania i postanowili nie tracąc czasu ustalić plan akcji. Nie było to łatwe zwłaszcza, że całe gno kierownicze „Zobab el Ahrar” składało się z oficerów sztabowych i nie miało do swej dyspozycji jednostek liniowych. W tej sytuacji ustalono, że pułkownik Szalij i kapitan Chalid Muhja ad-Din, z mobilizacją podległe sobie jednostki pancerne w Dubej i stamtąd, wspierani przez XIII Regiment Piechoty pułkownika Ahmada Szauki, wkroczą do Kairu. Zadaniem ich miało być opanowanie naczelnego dowództwa armii, pun-

któw strategicznych i głównych urzędów stolicy.

— Trzeba jednak pamiętać o tym — powiedział Nasser — że okoliczności mogą pokrzyżować ten plan. Dysponujemy, niestety zbyt małymi siłami bowiem Szauki może nie dotrzeć na czas ze swoim pułkiem z Synaju. Wówczas będziemy mieli maksimum batalion, jeden mały batalion.

Pułkownik Kamal Hussein nie wytrzymał:

— A więc, to pokerowe zagranie! — wykrzyknął biednac.

— Rzeczywiście — przyznał Nasser — na szczęście jednak nasi przyjaciele nie zdają sobie sprawy z naszej słabości. Zwycięzcy więc, ponieważ są przekonani, iż jesteśmy bardzo silni.

— Wytłumacz Gamal — przerwał Amer — Jak my to właściwie zrobimy? Nie posiadamy przecież ani jednego czołgu, dla nawet wozu dowodzenia.

— I mamy tylko dziesięciu oficerów lotnictwa — dodał Nasser. — Wiem o tym, ale to niczego nie zmienia. Nasz sukces zależy jedynie od perfekcji naszej sprawności taktycznej i precyzji działania. Zaatakujemy dokładnie o północy z 22 na 23 lipca. Pierwsza faza planu obejmuje jednocześnie wykonanie trzech głównych zadań:

Po pierwsze — izolowanie wojsk garnizonu kairskiego w ich koszarach.

Po drugie — aresztowanie wszystkich generałów ponieważ są oni naszymi wrogami. Po godzinie „H” aż do wydania nowego rozkazu, żaden wojskowy w randze wyższej od stopnia pułkownika nie powinien znajdować się na wolności.

Po trzecie — opanowanie gmachów Sztabu Generalnego i przecięcie linii telefonicznych w Centrum Armii, by uniemożliwić królowi i ministrom zaalarmowanie jednostek wojskowych na prowincji.

W środę 22 lipca zakończono przygotowania do wprowadzenia w życie powyższych dyrektyw. Po południu ok. godz. 16 w mieszkaniu Chalida Muhja ad-Dina odbyło się ostatnie przed akcją posiedzenie Komitetu Wykonawczego „Zobab el Ahrar”. Omówiono na nim raz jeszcze wszystkie szczegóły zamachu stanu i ustalono hasło do jego rozpoczęcia: „Nasr” (zwycięstwo).

O 18.00 „bikbaszi” rozeszli się, aby o ustalonej godzinie wykonać powierzone im zadania. Nasser wyszedł jako ostatni, wsiał do czarnego „Austina” i udał się na ostatnią inspekcję jednostek mających za kilka godzin wziąć udział w spisku.

JAN BABIŃSKI

# DAVID IRVING BRONI HITLERA

Zacznijmy od tego co najważniejsze. Nie ma w Polsce takiej rodziny, w której po wojnie kogoś by nie zabrakło. Mordowano ludzi na zimno. Z lodowatym chłodem. Mordowano w oparciu o przesłanki ideologiczne. Hitlerizm był ideologią. Stanowił wyznacznik wiary. Pod tym ludobójczym wyznaniem zwanym hitleryzmem podpisywali się miliony nacjonalistycznych fanatyków. Ci ludzie wstąpili do formacji „SS”, bądź do „NSDAP”, do partii hitlerowskiej. Wiedzieli do czego dążą, co jest ich biblia, co „patriotycznym obowiązkiem”. Zaczęli walczyć w „Mein Kampf”. Ich celem było urzeczywistnienie idei, które zrodziły się w mózgu Hitlera.

Mordowano, aby stworzyć „na Wschodzie” przestrzeń życiową dla niemieckiego „Herrenvolku”. Natomiast „podludzie”, przede wszystkim Żydzi i Polacy mieli być zepchnięci do grobu i zniknąć z powierzchni ziemi. Taki był cel. Taki miał być bieg historii.

Tymczasem okazuje się, że to nie tak. Do dzieła zabrali się wybielacze. Usiłują hitlerizm przedstawić w jaśniejszych kolorach a i samego Hitlera odmalować jako antoikę bez skazy. Brzmi to jak rojenie chorego na umyśle człowieka, a jednak to fakt. To nawet fakty. Nie o jedną przecież publikację chodzi ani nie o dwie. To już fala, a że znosi się coraz wyżej i wyżej, trudno mówić o przypadkowym zbiegu okoliczności.

Amerykański profesor Arthur Butz zaczął dowodzić, że o Hitlerze wypisywano dotychczas same brednie. W RFN przygotowuje się do druku nowe poprawione wydanie Hitlera „Rozmów przy stole”. W ogóle takto do wszystkiego sprawnia wrażeń, jakby nadeszła „wiosna dla Hitlera”. Oto odeszła się angielski pisarz i historyk David Irving. Opublikował grube liczące 926 stron tomisko „Hitler's war” — wojna Hitlera. Książka kosztuje 17 dolarów. Rozeszła się szybko. Zwłaszcza w RFN, gdzie ma być przełożona na niemiecki.

David Irving maluje sylwetkę Hitlera jako zwykłego, przeciętnego człowieka. Fuehrer był „normalnym ludzkim stworzeniem, które ważyło 72 kg, miało świeżące już włosy, sztuczne zęby i cierpiał na nieznośność dolegliwości żołądkowej”. Hitler był starszym, nie był młodym człowiekiem, który pochłonął w zimnych i nieprzejmnych bruchach nad sztabowymi mapami, próbował przeciwstawiać się przeciwnostwom losu. Odbarzony niesamowitą wolą umiał

po każdej nowej klęsce wmówić swym marszałkom, że nie się właściwie nie stało, co najwyżej sytuacja militarna Rzeszy wyraźnie się poprawiła. Zwykły normalny człowiek, który miał na myśli dobro swego narodu. A że się nie powiodło? Boże, czy tylko Hitlera można winić za wszystko, co w hitlerowskiej ideologii uległo wypaczeniu? Irving przedstawił Hitlera od tej „ludzkiej strony”, jako jaraśna nieznoszącego alkoholu, pogrążonego w rozmyślanach nad przyszłością Europy. Mówi się o zbrodniach, nisze Irving, a czy nie było szczytnie barbarzyństwa zombardowanie Hamburga.

„Podczas dywanowych nalołów w Hamburgu spłonęło żywcem lub zostało pogrzebanych w ruinach 40 tysięcy osób ewylnych, głównie dzieci, starców i kobiet”.

Ciekawe, że Irving nie podnosi głosu w obronie ludzi, których hitlerowcy spalili w obozach zagłady. Hektatombę ofiar. Miliony sturaturowanych i zhańbionych ludzi. Ten problem dla angielskiego pisarza nie istnieje. Autor wcale się nad tym nie zastanawia, kto wszczął tę najstraszniejszą z wojen i w jakim to uczynił celu.

Mało tego, Irving twierdzi, że w tym zakresie Hitler o niczym nie wiedział. Angielski historyk utrzymuje, że w tym zakresie Hitler miał bardzo nikłe wiadomości. Pierwsze informacje o eksterminacji Żydów doszły go w 1943 r. by może dopiero w 1944 r. Po tymu są podstawy by sądzić, że był temu przeciwny. Wydał przecież 30 listopada

1941 r. rozkaz, mocą którego „nie miało być żadnej likwidacji Żydów” (no liquidation of the Jews). Hitler był natomiast za „expulsion” — za wysiedlenie, wyrzuceniem Żydów do miejsc odosobnienia, przede wszystkim do gett, wzorowanych na gettach średnio-wiecznych. Te akcje Hitler popierał. Stał za nią.

David Irving pisze, że to Himmler, który dla odmiany nie znośił nikoty, należał Hitlerowi cieniem onaske na oczy. Udało mu się utrzymać „fuehrera” w niewiedzy co do losu Żydów, nawet wówczas, gdy piec krematoryjny dymyły już w dzień i w nocy. Autor przypuszcza, że było to Hitlerowi na rękę. Tak czyniło w przeszłości wielu samowładców. Woleli nie wiedzieć, Carowie byli bogobojni, ludzie i miłośnicy. To „czynowcy” dopuszczali się faszystw, gwałtów i nieładnych zbrodni.

„Hitler nie miał z tym nic wspólnego” — twierdzi Irving. Plan Hitlera był inny. Zamierzał on rozwiązać kwestię żydowską poprzez osiedlenie Żydów na Madagaskarze lub gdziekolwiek bądź indziej w Afryce”. Aby nadać swym wywodom pozory wiarygodności Irving dodaje, że wina Hitlera było, że kiedy się dowiedział o obozach zagłady, przyglądał się bezczynnie biegowi wypadków i ludzkich jatek nie powstrzymał. Nie umiał się więc zdobyć na prawdziwe człowieczeństwo.

Rzezie, mordy, gwałty, równanie z ziemią całych miast, rabunek i nie-ludzkie tortury. No tak, lecz Hitler nie o tym nie wiedział. To nie był tego biznes. On zajmował się prowadzeniem wojny. Do innych spraw Hitler nie miał ani czasu ani głowy. Znamy to z nazwy. Hitlerowscy zbrodniarze też dowiedzieli na procesie norymberskim, że o niczym nie mieli zielonego pojęcia. Wykonywali tylko rozkazy. Trzeba więc wejść w ich położenie. Są niewinni. O tym co działo się za drutami, wiedział tylko „fuehrer”. Z pretensjami nie do nich tylko do Hitlera.

Według Irvinga Hitler też o niczym nie wiedział. W ogóle nikt nie miał pojęcia, choć codziennie w obozach zagłady szło z dymem po kilkadziesiąt tysięcy ofiar. Hitler nie słyszał o

Treblince, Oświęcimiu i Erzezinca, ani o Chełmnie nad Nerem, gdzie wytruto małymi partiami 350 000 Żydów z Łodzi, Zgierza, Sieradza, innych też miejscowości.

David Irving przemilczał najspokojniej wyznanie samego Himmlera. A przecież „reichsfuehrer” na odprawie z niemieckimi generałami 5.V. 1944 r. oświadczył, że „rozwiązał problem żydowski”. I zaraz dorzucił, jakby się tłumaczył:

„Panowie mogą sobie wyobrazić jak się czułem, kiedy mi przyszło wypełnić ten żołnierski „Befehl”, skierowany właśnie pod moim adresem. Ale jak przysłało na żołnierza, rozkaz wykonałem posłusznie i w zgodzie z moimi przekonaniem”.

Zatem istniał rozkaz Hitlera. Dlaczego jednak tego rozkazu nie odnalaziono? Żadnej w tym tajemnicy nie ma. Hitler osobiście instruował najbliższych współpracowników, by możliwie najmniej posługiwali się papierem. Mieli unikać dokumentów i własnych podpisów. Pewne polecenia należy wydawać ustnie. To znana metoda przestępców. Nie pozostawiać śladów. Gangsterzy nawet zwykłych fotografii unikają jak ognia. Zresztą o cóż chodzi?

W hitlerowskim państwie mowy być nie mogło, by ktokolwiek powążył się wymordować 6 milionów ludzi bez rozkazu Hitlera. A jeszcze „Mein Kampf”. Z wielu rozdziałów tej hitlerowskiej biblii zjele patologiczna nienawiść do Żydów i Stowian, zwłaszcza do Czechów i Polaków.

Hitler napisał w „Mein Kampf”: — Niech wieczna nienawiść spadnie na głowę plugawego Żyda, który jest nieublaganym wrogiem całej ludzkości”.

Już w 1922 r. Hitler zwierzył się w gronie najbliższych przyjaciół: — „Jak tylko dojdę do władzy, natychmiast wystawie szubienicę, dajmy na to w Monachium, na Marienplatz. I jeden Żyd po drugim zawieszę na tej szubienicy i będzie wisieć, aż smród rozjedzie się dokoła. I potrwa to tak długo aż oczyszcze całe Niemcy z ostatecznego przekleśtego Żyda”.

David Irving jest zdania, że nadszedł czas by „de-demonizować Hitlera”, aby od-demonizować Hitlera. Bo demonem on nie był. Hitler był zwykłym, normalnym człowiekiem, który nie pił, nie palił i w ogóle, cierpiał na żołądek, już powoli siał i miał powstawać sztuczne zęby. „Hitleriana”, nowa fala, która zakreszując upiory, pojawia się na Zachodzie. Ta fala ma obmyć hitleryzm i usunąć z niego plamy. Ma też wybielić samego Hitlera.

# ZATRZYMANY KADR

Dzisiaj sportowe zawody ogląda nie tylko ten, kto siedzi na trybunie, kto ma przed sobą płytę stadionu. Pasjonujące mecze, dramatyczne pojedynki ogląda się też siedząc wygodnie w fotelu przed telewizorem. Ale są to dwa zupełnie różne sposoby oglądania tego samego widowiska. Z trybuny nie można dostrzec wysiłku na twarzy zawodnika, nie można zobaczyć potu spływającego po jego twarzy, ani grymasu bólu i zmęczenia. To może pokazać tylko kamera telewizyjna. Może ona wybrać z tego co dzieje się na stadionie najciekawszy fragment, pokazać walkę w zbliżeniu, może zatrzymać kadr, powtórzyć jeszcze raz to, co już się odbyło. Telewizja uczy innego spojrzenia na sportowe widowisko. Ale mimo wszystko obraz telewizyjny przemija, nawet jeśli utrwalony został na taśmie magnetowidu, przemija przynajmniej dla sportowego kibica.

Któż z nas nie pamięta owego momentu na stadionie w Wembley, kiedy to angielski piłkarz strzelał Janowi Tomaszowskiemu jedenastkę, a angielski bramkarz odwrócił się, aby tego nie widzieć. Kamerzysta pokazał to w ulamku sekundy. To było ładne, niezapomniane, ale nikt tego nie utrwalił. Ilek takich ładnych, a nie utrwalonych momentów zdarzyło się na stadionach? Nie wszystkie jednak przemijają. Niektóre z nich utrwalił fotoreporterzy. Zatrzymali kadr w toczącym się sportowym widowisku. Złapali ten właśnie moment, który warto było upamiętnić. I Andrzej Wach pokazał niedawno w Salonie Sztuki Współczesnej swoje zatrzymane kadry ze sportowych widowisk.

Oglądając jego propozycje z serii „przeżyjmy to jeszcze raz” odnosi się wrażenie, że fotoreporter „Dziennika Popularr-go” czuje i rozumie sport. Nie omija radości płynącej z odniesionego zwycięstwa, bo to jest też prawda sportowych widowisk. Ale szuka w tych widowiskach czegoś więcej, innego momentu. I znajduje go. Stara się widzowi przypomnieć, że na długo przedtem nim zawodnik podniesie ręce w górę w zwycięskim geście, jest pot, zmęczenie, wysiłek, walka z samym sobą i rywalami.

Pokazuje więc Andrzej Wach piłkarza skracającego się z bólu po odniesionej kontuzji, Ryszarda Szurkowskiego wypływającego wodę po zakończonym etapie, Mieczysława Nowickiego odpoczywającego na trawie. Widz nie zawsze musi wiedzieć, że po tym momencie, kiedy Andrzej Wach zatrzymał akcję w kadrze, będzie radość z sukcesu, ale zawsze wie, że przed tym momentem była trudna i wyczerpująca walka. Pokazuje więc walkę piłkarzy, koszykarzy, siatkarzy, bokserów.

Niewątpliwym walorem fotografii Andrzeja Wach jest to, że zmuszając one do zastanowienia się nad tym, co było przedtem, nim kadr w sportowym widowisku został zatrzymany. Czy jednak wszystkie fotografie pokazane na wystawie w Salonie Sztuki Współczesnej przy ulicy Piotrkowskiej zmuszają do takiego zastanowienia? Niestety, nie. Są i takie, które mieszczą się w konwencji stereotypu sportowej fotografii. Jest trochę pogoni za niezwykłością, jak na przykład mecz rozgrywający się na osnieżonym boisku w padającym śniegu, albo widownia cała pod parasolami. Są impreze na temat piłki wpadającej do siatki. Ładne to jest niewątpliwie, widać w tym wysiłek fotoreportera, który długo musiał na taki moment czekać, ale nie poza tym. Są to jednak na szczęście zdjęcia, które nie decydują o charakterze wystawy, a które znalazły się na niej ze względu na dobrą robotę reportera i takie zdjęcia też powinny się znaleźć. Ale mniej bardziej frapowały inne, które pokazywały sport od tej strony, jakiej nie widzi się siedząc na trybunie.

Zasługą Andrzeja Wach jest właśnie to, że potrafi widzieć w sporcie nie tylko ładne widowisko, że nie szuka udziwień, nie zajmuje się pięknym detalem, ale na plan pierwszy zatrzymanego kadru wysuwa człowieka i jego trud, z jakim zdobywa sukces, w jakim pokonuje rywali i sam bywa pokonywany. Andrzeja Wach interesuje w sporcie nie to, co jest ładne, ale to, co jest prawdziwe, a czego często nie dostrzeżlibyśmy z ławki na trybunie i na ekranie telewizora. Zatrzymane kadry Andrzeja Wachę wzbogacają naszą wiedzę o sporcie i pomnażają nasze przeżycia.

BOGDA MADEJ



## MUZEUM W OPCZNIE

Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Ziemi Opoczyńskiej — któremu przewodniczy Bolesław Wojewódzki — zwraca się za pośrednictwem urzędu do wszystkich, którzy mogliby przysiąc z pomocą w organizowaniu wystawy poświęconej działalności Włodzimierza Perzyńskiego.

„Pilnie szukamy — pisze Bolesław Wojewódzki — mebli w stylu fin de siècle, mianowicie: sekretarzyka, szafki bibliotecznej, dwóch foteli, kanapy, stojącego wieszaka do ubrań, lampy pokojowej, tremi przyrządów do pisania, fotografii pisarza z okresu dziecięcego — gimnazjalnego i studenckiego, afiszy reklamujących komedie, powieści i innych drobiazgów”.

Wszyscy, którzy chcieliby pomóc Muzeum Ziemi Opoczyńskiej w organizacji tej wystawy, proszeni są o nadsyłanie poszukiwanych przedmiotów lub innych pamiątek do pisarzu na adres: Muzeum Ziemi Opoczyńskiej, plac Zamkowy 1, 28-303 OPCZNO, Włodzimierz Perzyński urodził się w Opocznie w 1877 roku. Zmarł w Warszawie w 1930 roku. Uczył się w gimnazjum warszawskim i Petersburdze. Filozofia studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a później we Florencji. Debiutował na łamach „Życia” w 1898 roku w Krakowie. Pisał dramaty, powieści, nowele i felietony. W latach 1907—1912 mieszkał we Francji i Szwajcarii.

Bolesław Wojewódzki pisze w liście do redakcji:

„Zebrałiśmy znaczną ilość cennych reprografów, posiadamy portret pisarza, portret Stefana Jaracza w roli Siewskiego z sztuki Wł. Perzyńskiego „Uśmiech losu”, rysunek S. Węgrzyna, kilka książek, pare ilustracji do utworów, maszynopis scenariusza reżyserskiego „Lekkomyślny siostry”, i innych sztuk. Spodziewamy się też otrzymać inne eksponaty obiecane przez różnych ludzi sztuki i kultury oraz krewnych pisarza”.

Wystawa poświęcona Włodzimierzowi Perzyńskiemu będzie — jak utrzymuje Bolesław Wojewódzki — jedyną w kraju. Opoczno czuje się w obowiązku uczcić w taki sposób setną rocznicę pisarza, który z Opoczna pochodzi. A ponieważ rocznica przypada na 6 sierpnia 1977 roku, postanowiono więc na ten czas zorganizować wystawę, (jako że to czas urlopowy i wakacji, ale obchody przesunąć na wrzesień 1977 roku. Orientacyjnie podaje się daty: 17 lub 25 września 1977.

## NIE SKORZYSTAMY

Elżbieta Szepeńska z Warszawy przysłała nam list pełen wyrzutów z powodu niektórych dopowiedzi publikowanych w cyklu „Świat się śmieje”. Ludzie mają różne poczucie humoru i różnie reagują na to, co im się nie podoba. Zdaniem Elżbiety Szepeńskiej podtytuł naszego pisma: „Społeczno-kulturalne” zobowiązuje. Zgadzać się dostarczać naszym Czytelnikom możliwość różnicowanej lektury, która mogłaby każdego zainteresować. Natomiast ostatnia strona naszego tygodnika traktowana jest jako „Magazyn” różnych rodzajów i różnych drobiazgów, gdzie też dość bogato reprezentowane są teksty tłumaczone. Dowcip francuski, które tak zbulwersowały Elżbietę Szepeńską, też były tłumaczeniami z publikacji oryginalnych. Pokazując z czego śmieja się Francuzi, nie musimy być bardziej śmieć od nich. Dlatego nie skorzystamy ze źródła, które proponuje nam Elżbieta Szepeńska. Humor z publicznych szaleństw nas nie interesuje.

## SMIECIARZE

Andrzej Kowalski z Łodzi napisał o ludziach, którzy chodzą do śmietników i wybierają znajdujące się tam „dobra”. Pisze on między innymi w swoim liście:

„Sa to brudni i zarozniewcy osobnicy, nierządki cuchnący denaturatem, którzy pechają swoje wykożystawione „wózki”, lub — pożałujcie Boga — „rowery” z najrozmaitszymi pudłami, wyrzucanymi ze sklepów”.

Andrzej Kowalski zarzuca nam, że nie interesujemy się tym problemem, że go nie dostrzegamy. Harhara na przykład pisał o cłocharach w Paryżu, a nie pisał o rodzimych. Ale to są dwa zupełnie różne zjawiska.

Nasze śmietniki są przykładem marnowania wielu różnych i gdzie indziej z pożytkiem wykorzystywanych surowców. Nie wiec dziwnego, że są one miejscem zainteresowania dla ludzi, którzy z grzebania w śmietnikach czerpią wcale nieskądne profity.

Andrzejowi Kowalskiemu dziękujemy za sygnał. Postaramy się zająć sygnalizowanymi przez niego problemami.

## KSIĘZY MŁYN

Z Księży Młyna nadszedł list do redakcji od Heleny Szymańskiej, której całe niemal życie związane jest właśnie z Księżym Młynem. Helena Szymańska przez 40 lat była przadką. Jej najulubieńszą książką, która do stała ktedwś na pamiętanie, spotkała z uczniami lednej z łódzkiej szkół, jest książka Władysława Rymkiewicza „Widok z Księży Młyna”. Z dużym zainteresowaniem czyta wszystkie artykuły o Księżym Młynie. Dziękujemy za list i przesyłamy serdeczne pozdrowienia.

## Dalszy ciąg ze str. 1

nialszych okazów czystego angielskiego gotyku. A inne unikalne zabytki: Wielki Kościół Katedralny, kościół św. Trójcy, Dom św. Marii — centrum miejskiego życia Coventry od czasu, gdy został zbudowany przez korporację kupców, noszącą imię Matki Boskiej, i wiele innych. To całe architektoniczne bogactwo miasta górowało nad meandrami wązkiego uliczek, zabudowanych domami z drewna i cegły.

Z przemysłowego punktu widzenia Coventry było jednym z głównych arsenałów Anglii. Tutaj, w fabrykach kompanii „Armstrong Whitworth” budowano bombowce, w fabrykach „Alvis” — silniki samochodowe, w zakładach „Hillyman” i „Standard” — auta ciężarowe, samochody opancerzone i jeepy. Tutaj właśnie znajdowała się, w owym czasie największa w świecie, fabryka przyrządów precyzyjnych, a także zakłady firm produkujących precyzyjne przyrządy pomiarowe, aparaturę elektrotechniczną i środków łączności, maszyny rolnicze itd.

„Sonatę księżycową” zaplanowano jako akt odwetu. 8 listopada 1940 r. lotnictwo brytyjskie dokonało nalotu na Monachium. Tego właśnie wieczoru Hitler miał wystąpić w piwniarni Loewenbreukeller z okazji 17 rocznicy „piwnego puczu” 1923 r., pierwszej próby nazistowskiego przewrotu państwowego, zakończonego strzelaniną między nazistowskimi bojówkami a policją. Hitler opuścił piwniarnię półtorej godziny przed nalotem. Jednakże bomby trafiły dokładnie w cel, obracając piwniarnię w perzynę. Byli ranni, legły w gruzach domy mieszkalne i magazyny w pobliżu stacji kolejowej.

Jak wynikało z odczytanych rozkazów, Niemcy przygotowywali jeszcze dwie inne operacje, których celem było zburzenie miast: Birmingham — operacja „Parasol” i Wolverhampton — operacja „Monolit”. Obie planowano w tym samym okresie listopadowej pełni księżyca 1940 roku. Przechwycone informacje zawięrały pewne szczegóły taktycznej strony nalotu na Coventry. Tak więc główną masę bombowców biorących udział w nalocie miała poprowadzić specjalna lotnicza jednostka rozpoznawcza Kampfgruppe 100, rozlokowana na jednym z lotnisk w departamencie Bretanii. Samoloty tej grupy rozpoznawczej miały lecieć na Coventry według celogramu i zlaższy się nad celem — zrzucić bomby zapalające. Zakładano, iż spowodowane przez nie pożary zwiększą skuteczność bombardowania.

Maszyna „Ultra” przedzierała Winstona Churchilla i jego doradców o nalocie na Coventry co najmniej 48 godzin, a — być może — nawet 60 godzin przed jego rozpoczęciem. Zaraz po otrzymaniu tej wiadomości Churchill zadbał, żeby dowiedziało się o niej tylko bardzo ograniczone liczbą osób, mających dostęp do informacji ściśle tajnych. Jednocześnie zastanawiano się nad środkami obrony. Problemów było mnóstwo i nie mniej proponowanych rozwiązań. Jednakże od samego początku wysunęto kwestię pierwszorzędnej wagi: ściśle tajemniczość operacji „Ultra”. Nie można narazić na najmniejsze niebezpieczeństwo. Za wszelką cenę.

Wszyscy zdawali sobie doskonale sprawę, iż podjęcie specjalnych środków obrony Coventry, na szerszą skalę niż robiło się to zazwyczaj broniąc innych miast angielskich przed nalotami Luftwaffe, może natychmiast wzbudzić podejrzenia Niemców, iż Anglii znaleźli „klucze do ich szyfrów lub naprowadzić na myśl, iż tajemnica „Enigma” została odkryta. Nie ulegało wątpliwości, że Niemcy zmieniliby natychmiast cały system szyfrowania. A zatem, jaką miarę należało przyłożyć do znaczenia maszyny „Ultra”? Co być ważniejsze: zachować w tajemnicy jej istnienie, czy uchronić od zagłady duże przemysłowe miasto? Odpowiedzieć na to pytanie mógł tylko jeden człowiek — Winston Churchill.

Środki obrony przed nalotami w nocy były podówczas jeszcze bardzo prymitywne, ale dla obrony Coventry można było zrobić niemało. Przede wszystkim spróbować przeszkodzić Niemcom w nalocie, wykonując uderzenie uprzedzające. Plan takiej operacji, wymagającej zgrupowania wszystkich nadających się do tego celu samolotów, otrzymał umowną nazwę „Zimny prysznic”. Dzięki maszynie „Ultra” i służbie podsłuchu brytyjskiego lotnictwa wojskowego, Anglii dokładnie wiedzieli, na jakich lotniskach Zachodniej Europy stacjonują niemieckie eskadry i w jakiej ilości. Zgodnie z planem operacji „Zimny prysznic”, angielskie samoloty myśliwskie miały zaatakować niemieckie bombowce w momencie najbardziej dla nich niebezpiecznym, kiedy z pełnym obciążeniem bomb i paliwa będą rolować na pola startowe, względnie bezpośrednio po odwarciu się od ziemi.

Plan operacji „Zimny prysznic” przewidywał także zaatakowanie niemieckich bombowców w czasie ich



lotu nad Anglię, żeby wytrącić je z sztyku, rozproszyć i zmusić do zrzucenia śmierniczości ładunku do morza lub na pola w rejonach mało zaludnionych. Warunki meteorologiczne wydawały się bardzo pomyślne do przeprowadzenia takiego ataku. Jednakże, jak powiedział później pułkownik E. Ly, doradca premiera do spraw lotnictwa wojskowego, operacja „Zimny prysznic” była „śle przygotowana i źle wykonana”. Działania odciągające i uprzedzające były ponoć podjęte, ale ich efektywność okazała się tak znikomą, że nie przeszkodziła niemieckim związkom powietrznym w osiągnięciu celu.

Podczas omawiania planu obrony Coventry rozpatrywano wiele różnych sugestii. Zaproponowano, na przykład, plan fizycznego zniszczenia pilotów Kampfgruppe 100, lecz trzeba było z niego zrezygnować z powodu braku czasu, a właściwie braku pod ręką gotowej, zorganizowanej grupy, która by mogła wziąć na siebie wykonanie podobnej akcji. W każdym razie było dość czasu do podjęcia innych środków obrony, zwiększenia, na przykład, liczby baterii armat przeciwlotniczych broniących miasta, reflektorów, przygotowania stanowisk zasłony dymnej, nie mówiąc już o zwiększeniu liczby karettek pogotowia ratunkowego i jednostek straży pożarnej. Zmasowanie artylerii przeciwlotniczej i reflektorów zmusiłoby Niemców do zrzucenia bomb na miasto z dużej wysokości i co za tym idzie — mniej celnie. Anglia miała w tym czasie 410 samolotów dział artylerii przeciwlotniczej i chociaż część z nich mogła być na czas przerzucenie na przedpola Coventry.

Ale nawet takie kroki obrony Coventry mogły naprowadzić Niemców na myśl o odcypaniu ich szyfru. I tak więc przeciwlotnicza obrona Coventry nie została wzmocniona. Nie wzmocniono obrony przeciwlotniczej Birmingham, który, jak dowiedzieli się dzięki maszynie „Ultra”, miał być zbombardowany 5 dni po nalocie na Coventry. Uzupełniono tylko środki obrony przeciwlotniczej miasta Wolverhampton. Z racji tego faktu oficjalni historycy wojskowego lotnictwa brytyjskiego pisali później dość dwuznacznie:

„Niemiecka przewaga w powietrzu w tym czasie potwierdza następujące fakty: mimo iż z początku wiedzieliśmy o ich wylotach oraz mimo regularnych rajdów naszych samolotów na bazy hitlerowskie, Niemcy straszliwie zbombardowali Coventry, a w jedną z następnych nocy także Birmingham. Wiecej szczęścia miał Wolverhampton, który uniknął podobnego losu. Można przypuszczać, iż przeciwnik zrezygnował ze swoich zamysłów, wykrywając nagle zmasowanie artylerii przeciwlotniczej wokół tego miasta”.

Ale nawet jeśli nie można było

przedsięwziąć nadzwyczajnych środków obrony Coventry, to czyż nie można było choćby uprzedzić władze miejskie o mającym się odbyć nalocie? Zrozumiałe, iż w tym wypadku należałoby także uprzedzić o tym straże pożarną, służby pogotowia ratunkowego, szpitale. Czyż nie należało wobec tego uprzedzić ludności zabytkowego miasta, zawczasu ewakuować starców, kobiety i dzieci, ciężko chorych? Na wszystkie te propozycje Churchill odpowiadał kategorycznie: nie!

W nocy z 14 na 15 listopada 1940 roku księżyc był w pełni i świecił wyjątkowo jasno. W jego srebrzystym blasku Coventry, nie osłonięte najcięższym nawet woalem dymów z kominów fabrycznych, było widoczne jak na dłoni. Wycie syren obrony przeciwlotniczej rozległo się o godz. 19.05. Pięć minut później nad miastem jęczały już silniki „Heinklów”. Dopiero wtedy policja, straż pożarna, służba medyczna, obrona obywatelska — zrozumieli, że celem nalotu jest ich miasto.

Za dowód zaskoczenia i popłochu może służyć sytuacja w centralnym szpitalu Coventry. Specjalne środki ostrożności „podjęto” tutaj dopiero wtedy, gdy zawyły syreny, a „zakończono”, kiedy zaczęły eksplodować bomby... Środki te sprowadzały się do tego, że niektórych chorych położono na podłogę, pod łóżka i przykryto materacami. Chorych z wyższych pięter przeniesiono na niższe. Około 15 kobiet w sali porodowej oraz ponad 10 chorych w oddziale ortopedycznym pozostało jednak w swoich łóżkach.

Harry Winter, młody lekarz z Kanady, tak opisuje widok, który oglądał na własne oczy:

„Wysłano mnie, żebym zlustrował izby i korystaże na górce. Po wyjściu na plac dał szpitala zamartem z przerażenia: ze wszystkich stron zionęło ogniem. Wokół szpitala szalały setki pożarów wywołanych bombami zapalającymi. Miasto wyglądało jak choinka na Boże Narodzenie, migocąca płomykami świec”.

Zgasły światła w pomieszczeniach szpitalnych i w sali operacyjnej. Zaplanowały zupełne ciemności. Gdy wreszcie udało się uruchomić awaryjny generator, jego mocy starczyło na zasilenie zaledwie kilku żarówek samochodowych prowizorycznie podłączonych do sieci. Szpital, do którego dostarczano większą część rannych, nie miał ani światła, ani ogrzewania. Chorzy i ranni leżeli pokotem na podłogach, zapelniając całą wolną przestrzeń. Lekarze spieszyli im z pierwszą pomocą przy świetle ręcznych latarek i pochodni. Do rana ze szpitala pozostał na wpół zburzony i wypalony budynek, bez okien i drzwi; trafiło weń 5 bomb kruszą-

cych i około 100 zapalających. W całym mieście, opanowanym paniką, było podobnie. Nocne myśliwce brytyjskie nie mogły rozproszyć chmury niemieckich bombowców, a artyleria przeciwlotnicza nie była w stanie utrzymać ich na dużej wysokości. Niemal od razu po alarmie na miasto spadł grad bomb, a ziemia glucho dudniła od nieustannych eksplozji. „Sonatę księżycową” wykonywano dokładnie tak, jak mówiły o tym informacje odczytane przez maszynę „Ultra”. Za zburzenie monachijskiej piwniarni, Hitler zemścił się zburzeniem katedry św. Michała...

Ocalałe ruiny katedry stały się później symbolem brytyjskiego bohaterstwa. Z równym powodzeniem mogłyby one symbolizować złożenie ofiary, bowiem katedra św. Michała nie musiała ulec zniszczeniu. Pożar, który tam wybuchł, był z początku bardzo niewielki i gdyby hydrant pożarowy był sprawny, pożar można by z łatwością ugasić. Podobne wypadki zdarzały się na każdym kroku w całym mieście. Całe dzielnice zostały zamienione w perzynę. W mieście zniszczono i uszkodzono 50.749 domów. Z kościoła klasztornego pozostała tylko stara dzwonnica. Dziesiątki fabryk poniosło ogromne straty. Zakłady lotnicze zostały praktycznie wyłączone z produkcji. Z powodu zakłóceń w urzędach i w komunikacji, nigdzie nie podjęto pracy. Sieć gazowa w mieście została przerwana, trudno było zliczyć uszkodzenia sieci elektrycznej, wodociągowej, kanalizacyjnej i telefonicznej. Zostały zablokowane wszystkie kolejowe linie przejazdowe, niemal wszystkie ulice w mieście zatarasowały gruz domów. W niektórych punktach miasta pożary udało się ugasić dopiero po tygodniu. Ludność cierpiała głód, legły bowiem w gruzach sklepy i magazyny żywnościowe.

„Sonata księżycowa” trwała 10 godzin — niemieckie zamierzenie uwieńczył pełny sukces. Wojskowy korespondent gazety niemieckiej, który obserwował przebieg bombardowania z pokładu jednego z bombowców, donosił o „największym nalocie w całej historii wojny powietrznej”. A oto, jak odmalował obraz, który oglądał w miarę oddalania się samolotu od zburzonego miasta:

„Wydawało się, że rozwarła się ziemia i wyrzuciła na zewnątrz morze rozpalonej lawy. Jeszcze długi czas widać było z datka gigantyczny stup dymu. Wznosząc się wiele kilometrów w górę, mieniło się złotowieszczo czerwonym blaskiem, jakby palec boży, zwiastun kłeski”.

Artyleria przeciwlotnicza zestrzeliła tylko jeden samolot niemiecki. I chociaż dowództwo lotnictwa brytyjskiego rzuciło do walki w powietrzu 185 nocnych myśliwców, udało im się wykryć zaledwie 7 niemieckich samolotów spośród tych, które wargnęły w powietrzny obszar Anglii. Dwa z nich zostały zaatakowane, lecz bezskutecznie.

Czy można było coś zrobić, żeby uratować miasto? Odpowiedź nie pozostawia żadnych wątpliwości: oczywiście, że tak. Wszak dużo uczyniono dla obrony Birmingham i Wolverhampton. Jeśli chodzi o Birmingham, to dowództwo lotnictwa brytyjskiego skierowało do tego miasta 24 bombowce, które utworzyły na jego przedpolach swego rodzaju powietrzną zapórę. W drugim wypadku — nalotu w ogóle udało się uniknąć, bowiem Niemcy prawdopodobnie dowiedzieli się z wczasu, że przeciwlotniczą obronę miasta znacznie wzmocniono. Oczywiście, można było także wzmocnić obronę obywatelską i straże pożarną w Coventry, ale, jak stwierdza oficjalny historyk, kroki te podjęto, kiedy było już po wszystkim... Londyński „Times” nazwał Coventry miastem — męczennikiem. W rzeczy samej odegrało ono rolę męczennika w imię zachowania tajemnicy maszyny „Ultra”...



## U PRZYJACIOŁ

Ostatni, XXVI z kolei Festiwal Haendowski raz jeszcze potwierdził rolę tej imprezy w krzewieniu kultury tego kompozytora w świecie. Festiwal odbywa się w mieście rodzinnym Haendla — Halle, gdzie nie tylko pomnik na rynku, lecz i znakomicie wyposażone muzeum w domu jego urodzin i inne pięknie odrestaurowane obiekty przypominają o stałej obecności Haendla w kulturze światowej, o wpływie jego muzyki na późniejszych kompozytorów. Impreza świadczy też, jak wielką wagę władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej przywiązują do odrodzenia wielostronnej twórczości muzyka, związanego nie tylko z Halle i innymi miastami niemieckimi, lecz też przebywającego dłuższy czas we Włoszech, a następnie przez 47 lat swego długiego życia w Anglii.

W Polsce i świecie Haendel znany jest głównie jako twórca muzyki kameralnej i symfonicznej, kantat i oratoriów, z których tylko nieliczne, podobnie jak ma to miejsce z jego operami, wykonywane są dość często na estradach i scenach świata. Właśnie festiwal w Halle ukazał na przestrzeni ćwierćwiecza, Haendla jako wszechstronnego twórcę muzyki symfonicznej, kameralnej i chóralnej. W ciągu 25 lat wystawiono tam 22 opery z jego wielkiego dorobku, wykonano niemal wszystkie z 18 oratoriów, przypomniano wiele pieśni w wykonaniu amatorskich zespołów okręgu Halle i chórów zawodowych.

XXVI Festiwal poprzedziła prezentacja opery Haendla „Ezio” przez zespół teatru z Dessau. Wznowienie ostatniej opery mistrza „Daidamia” przez Teatr Pokoju z Halle (taką nazwę nosi miejscowa scena) i pierwsze na tej scenie wykonanie młodzieńczej, skomponowanej jeszcze pod silnym wpływem włoskim opery „Tezeusz”, dało niezapomniane wrażenie. O wysokim poziomie splewaczym, inscenizacyjnym i reżyserskim tych dwu pozycji świadczy fakt, że teatr z Halle zaprezentuje je w sierpniu na Festiwalu w Helsinkach, a następnie w Budapeszcie.

Z oratoriów największe wrażenie wywołał „Saul”, zrealizowany przez chór, orkiestrę i solistów Radia Berlińskiego pod dyr. Heinza Rognera oraz popularny „Mesjasz” w interpretacji chóru, orkiestr i solistów Radia Lipskiego pod batutą znakomitego tenora z NRD Petera Schreiera.

Festiwal nie ograniczył się do twórczości Haendla. Wysoko oceniono wykonanie „Missae solennis” Beethovena przez orkiestrę z Halle i Chór Filharmonii Słowackiej z Bratysławy pod dyr. Olafa Kocha, generalnego dyrektora muzycznego z Halle. Także prezentacja muzyki radzieckiej w wykonaniu artystów z NRD i Leninogradskiej orkiestry kameralnej stała na bardzo wysokim poziomie. Do największych przeżyć festiwalowych zaliczyć należy wykonanie „Sonaty na tenor i róg” b. wiceprzewodniczącego Towarzystwa Haendowskiego, znakomitego kompozytora angielskiego Beniamina Brittena. Interesujące też były utwory współczesnych kompozytorów z NRD, np.: dzieła prezesa Związku Kompozytorów NRD i przewodniczącego Towarzystwa Haendowskiego — Ernsta Hermanna Meyera.

Obywatele Związku Radzieckiego cieszą się opinią najbardziej rozzytanego społeczeństwa świata. Nie dziwnego, bowiem na terytorium ZSRR działa obecnie przeszło 350 tys. bibliotek — w tym 131 tys. publicznych, ogólnodostępnych — przechowujących w swych księgozbiorach ponad 4 miliardy tomów. W ciągu roku korzysta z nich przeszło 200 milionów osób. Światową sławą cieszą się także księżnice, jak Państwowa Biblioteka ZSRR im. Lenina, Państwowa Biblioteka Publiczna im. Sałtykowa-Szedrina, Biblioteka Akademii Nauk ZSRR, Ogólnozwiązkowa Państwowa Biblioteka Literatury Obcej.

Księgozbiory stale wzrastają, a ich siłę powiększa się co roku o dwa tysiące nowych obiektów.

Szczególne silnie rozwijającym się ostatnio nurtem działalności radzieckich bibliotekarzy jest informatyka. Np. w RFSSR z usług bibliotekarzy korzysta w tej dziedzinie 95,5 proc. naukowców i specjalistów. Do lepszego wykorzystania zbiorów przyczynia się przeprowadzana tu obecnie centralizacja sieci. Małe biblioteki włączone zostają do większych placówek, dzięki czemu lepiej są wykorzystywane rozproszone dotychczas księgozbiory i łatwiej zapewnić nad nimi opiekę wyspecjalizowanej kadry fachowców.

Samochód — ów symbol XX wieku — w uprzemysłowionych krajach Zachodu, gdzie komunikacja miejska jest bardzo słaba, coraz częściej staje się prawdziwą plagą. Dziesiątki milionów prywatnych samochodów zapełnia ulice miast i autostrady, powstają wielokilometrowe korki, bez ograniczeń spala się drogie paliwo, a powietrze jest przesiąknięte trującymi spalinami. Specjalistów coraz częściej absorbuje problem: czy prywatny samochód ma przed sobą przyszłość? Proponuje się mnóstwo projektów samochodu przyszłości, które pomogą ponoc w rozwiązaniu szybko narastającego kryzysu. W tych rozważaniach głównym problemem jest jednak nie sam samochód, lecz stworzenie takiej struktury komunikacyjnej, która by umożliwiła efektywne użytkowanie samochodu.

A zatem, czy lekki samochód ma przed sobą przyszłość? Czy uda mu się — wyraził się „filozof” prywatnego transportu — przetrwać wywołany przezeń chaos? Czy korzystanie z niego zostanie do minimum ograniczone na korzyść komunikacji publicznej? Specjaliści przemysłu samochodowego, a głównie futurologi zatrudnieni w ośrodkach naukowych największych koncernów samochodowych sądzą, iż problemy związane z automobilizacją są już i dziś ostre, a w latach 80 staną się wręcz wybuchowe. Wtedy trzeba będzie je rozwiązać raz na zawsze, a cała kwestia będzie dotyczyła samego istnienia samochodu, jako środka prywatnego transportu.

Jednakże, mówią ci sami specjaliści, wyprawa krzyżowa przeciwko samochodowi sprawie nie pomoże, nie należy przeciwstawiać go innym środkom transportu, lecz podjąć takie działania, żeby go z nimi zintegrować. Stąd wypływa konieczność skoncentrowania wysiłków nie tylko, i nie tyle, na stworzeniu nowych, coraz bardziej atrakcyjnych modeli, co na rozwiązaniu ogólnych problemów transportów: miejskiego i pozamiejskiego. Jeszcze kilka lat temu, żeby sprzedać nowy model samochodu, wystarczyło podać takie jego walory, jak szybkość, wygląd zewnętrzny, zalety aerodynamiczne itp. Dziś bierze się pod uwagę przede wszystkim kryteria oszczędnościowe. Teraz badania koncentrują się na kompleksowej organizacji transportu prywatnego i publicznego z perspektywą ich integracji, bowiem tylko ona będzie mogła zagwarantować samo istnienie fenomenu prywatnego samochodu.

Już dziś planuje się, pisze publicysta rzymskiego dziennika „Giorni”, stworzenie gigantycznych drogowych „autokontenerów”, zdolnych do polknięcia i przechowania w swym pojemnym łonie dziesiątków, jeśli nie setek, samochodów wraz z ich pasażerami, żeby przewieźć je na wielkie odległości. Podobny system transportu ma co najmniej dwie zalety: zmniejszenie liczby samochodów na drogach i znaczną oszczędność paliwa.

Jeśli chodzi o to ostatnie, to możliwe jest także inne rozwiązanie. Przedstawmy sobie samochód z „podwójnym napędem”, zdolny do poruszania się zarówno przy pomocy zwykłego paliwa, jak i dzięki energii elektrycznej wytwarzanej w ogromnych ilościach i po niskich kosztach własnych w elektrowniach atomowych. „Od waszego domu aż do początku autostrady — pisze publicysta „Giorni” — będziecie się posługiwać tradycyjnym paliwem, prowadząc auto tak samo, jak robicie to dzisiaj. Ale oto

ny, podobnie jak samoloty, w specjalną „czarną siłownię”, która pozwoli na odtworzenie „historii” każdego wypadku drogowo-transportowego. Najważniejszym elementem aktywnego bezpieczeństwa będzie stworzenie szerokiej sieci ośrodków diagnostycznych, pozwalających na szybkie wykonanie pełnej i automatycznej kontroli sprawności samochodu.

A czy będzie się używać samochodu do codziennych wyjazdów w granicach miasta? Wielu specjalistów

## NA PALIWIE PŁYNNYM I ELEKTRYCZNOŚCI...

macie już przed sobą autostradę. Kierujecie więc samochód na jedną z licznych tras, włączacie stykową „szczotkę”, która przylegając do specjalnej ścieżki ułożonej na torze autostrady, zaczyna zasilać samochód energią elektryczną. I aż do miejsca przeznaczenia auto będzie jechać „na elektryczność”, w dodatku automatycznie, przy pomocy ostroźnego uważnego autopilota, który pozwoli wam na drzemkę i przebudzenie się w momencie, gdy będziecie musieli zasiać za kierownicą, zjechać z autostrady, a silnik znów przejdzie na paliwo płynne”. Znacznie zmieni się także zewnętrzny wygląd samochodu. Być może dla niektórych jego widelniceli będzie to ciemno w samo serce, ale wszystkie samochody staną się praktycznie jednakowe.

Samochody dalekobieżne będą miały pulpity podobne do pulpitu statku kosmicznego. Nie będzie w nich ani kierownicy ani pedału akceleratora. Z zewnątrz znikną tradycyjne reflektory, ustępując miejsca — z przodu promieniom laserowym, a z tyłu — elektroluminescencyjnym źródłom światła. Jeśli chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa jazdy, to umieszczone z przodu specjalne „oko podczerwieni” pozwoli na utrzymywanie bezpiecznej odległości od samochodu jadącego z przodu, a zainstalowane od dołu, po obu stronach karoserii, mikroskopijskie radary będą prowadziły samochód wzdłuż linii kierunkowej, oznaczonej na trasie autostrady. Na samochodach tego typu pojawią się również bardziej złożone urządzenia radarowe, które w razie niebezpieczeństwa zderzenia z innymi samochodami włączą automatycznie efektywny system hamujący. Zderzenie, jeśli mimo wszystko nie udało się go uniknąć, będzie w znacznym stopniu złagodzone dzięki specjalnym urządzeniom energoabsorbującym, zainstalowanym z przodu samochodu i z tyłu. W wypadku gwałtownego hamowania wszystkie siedzenia, włącznie z siedzeniem kierowcy automatycznie odchylają się do tyłu, a błyskawicznie nadmuchiwane gumowe poduszki, umieszczone na suficie karoserii, uchronią pasażerów od uderzenia.

Każdy samochód będzie zaopatrzony

twierdzi, iż auto ma przed sobą przyszłość również w mieście, pod warunkiem wszakże, iż zostanie zintegrowane z transportem publicznym i jeśli będzie miało dość odwagi i fantazji, żeby zmienić swój wygląd. Dwumiejscowy miejski samochód dnia jutrzejszego będzie poruszany energią elektryczną. Jego akumulatory, bez ładowania, pozwolą mu na przejechanie 100—150 km. Będzie miał tylko jedno drzwi z przodu, otwierane do góry, co pozwoli na oszczędzenie przestrzeni i zapewni wygodny dostęp do dwóch siedzeń. Auto będzie miało tylko trzy koła, ale każde będzie się obracać o 90 st. w osi pionowej, co pozwoli na parkowanie na minimalnej powierzchni. Rolę tradycyjnej kierownicy przejmie na siebie gałka umieszczona na siedzeniu kierowcy. Zniknie także pedał akceleratora, a zastępujący go przycisk umieszczone na gałce sterowniczej. Ze wszystkich pedałów pozostanie tylko pedał hamulca.

Modyfikacjom ulegnie także pulpity elektroniczne przekładniki zastąpią dzisiejsze elektromechaniczne. Stałe ukazujące się cyfry na pulpicie tablicy rozdzielczej będą podawać precyzyjne informacje o pracy układów silnika, nawet takie, jak ciśnienie płynu hamulcowego, charakterystykę drogi, stan opon. Szyby będą zmieniać przezroczystość kiedy padną na nie promienie światła od reflektorów mijających samochodów, zapobiegając oślepieniu kierowców.

Ale nawet takie przekształcenia nie wystarczą, żeby rozwiązać miejskie problemy komunikacyjne jeśli jednocześnie nie podejmiemy się radykalnych decyzji w zakresie regulacji ruchu. Miasta, szczególnie duże, uratują się przed samochodowym koszmarem tylko wtedy, jeśli uda im się stworzyć harmonijną, wyregulowaną jak mechanizm zegara, strukturę transportu. Powinna ona obejmować liczne strefy otwarte tylko dla środków transportu publicznego, autobusów, trolejbusów. Dla uzupełnienia tego trzeba będzie wprowadzić automatyczne kierowanie ruchem przy pomocy systemów elektronicznych.

JERZY CZECH

(C)

## BAJKAŁ

W południowej części Syberii, centrum azjatyckiego kontynentu, na wysokości kilkuset metrów nad poziomem morza, leży największy i najgłębszy stożkowy basen naszej planety — Jezioro Bajkał. Zawiera on piątą część światowych zasobów słodkiej wody, dlatego też tyle uwagi poświęca Bajkałowi rząd radziecki.

336 rzek, z których największa jest Selenga, wpada do Bajkału, a wypływa z niego tylko jedna — Angara. Stabilność równowagi wodnej warunkuje słaba cyrkulacja, wskutek czego pełna wymiana wód następuje raz na 300—400 lat. Ponieważ Bajkał ma bardzo mało planktonu, jego woda jest niezwykle czysta i nieraz zupełnie przezroczysta do głębokości 40 metrów.

I właśnie w tym unikalnym, ze względu na swoje piękno i bogactwo przyrody, zakątku Ziemi kilka lat temu wyłonili się problem ochrony środowiska naturalnego, zabezpieczenia czystości wody i powietrza. Obecnie na Syberii, z jej niewyczerpanymi bogactwami naturalnymi, coraz bardziej rozwija się przemysł. Wokół Bajkału prowadzi się dziś energiczne poszukiwania źródeł surowców. O ile na południu Transsberyjska Magistrała już od wielu lat łączy Europę z Oceanem Spokojnym, o tyle na północy dopiero teraz buduje się Bajkał-Amurska Magistrała BAM. Kładąc znacznie już funkcjonować, kolosalne bogactwa ogromnego rejonu bajkałskiego będzie można eksploatować nieporównanie intensywniej.

W ramach ochrony środowiska naturalnego, od 1971 roku w rejonie Bajkału wprowadzono szereg ograniczeń w wyrębie lasów, w spławie drewna, poczyniono przygotowania do budowy specjalnej 1200-kilometrowej trasy transportu drewna drogą lądową, przeprowadza się systematyczne oczyszczanie brzegów jeziora.

Zarządzeniem Ministerstwa Melioracji i gospodarki wodnej ZSRR utworzono wokół Bajkału strefę ochronną na powierzchni 300 tysięcy kilometrów kwadratowych, włącznie z Bajkałem i wpadającymi doń rzekami. Bajkał uznano za rezerwat. W pracach rolnych zabroniono używania środków agrochemicznych, a do walki ze szkodnikami używa się na wielką skalę środków biologicznych, mniej szkodliwych dla otaczającego środowiska naturalnego. Ograniczono działalność myśliwskich, przemysłowych i rybactw gospodarskich, a także budownictwo nowych obiektów przemysłowych. Jedną z najważniejszych naukowych organizacji studiujących problemy Bajkału jest Limnologiczny Instytut Syberyjskiego Oddziału AN ZSRR, który bada różne aspekty naturalnej ekologicznej równowagi jeziora i jej naruszania.

## DOMINUJĄCY TEMAT OKRESU WAKACJI

O tym, że odprężenie nie tkwi jeszcze w świadomości wszystkich i nadal myśli ludzka krąży wokół doskonałości broni masowej zagłady, świadczy wymownie skonstruowanie nowej bomby — neutronowej. Ma ona ponoc wszystkie „zalety” niszczycielskie — nie rujnuje materii, paraliżuje i zabija człowieka. Dla agresora „genialna” broń: można nią unicestwić życie i wejść szybko w posiadanie uzbrojenia, transportu i fabryk przeciwnika. Oczywiście, jeśli on nie zastosuje odwetu lub broni antyneutronowej.

I tak właśnie łatwo jest rozpocząć nowy, jeszcze wyższy etap zbrojeń, kosztowniejszy niż poprzednie i znacznie groźniejszy. Jak da się to pogodzić z odprężeniem, deklarowaną różny sposób gotowością redukcji zbrojeń i zapewnienia trwałego pokoju? To pytanie należy postawić amerykańskim konstruktorom broni

neutronowej i kongresmenom, którzy prezydentowi USA pozostawili swobodę decyzji, czy bomba taka w Stanach Zjednoczonych będzie produkowana.

Już wydawało się, że po latach odprężenia politycznego i liczących się faktów na drodze umocnienia pokoju — dawno skompromitowany straszak „komunistycznego zagrożenia” złożony został w archiwum zimnej wojny. Okazuje się, że nie przez wszystkich. Amerykańskie koła militarne i przemysłu zbrojeniowego znów sięgnęły po niego, aby jednocześnie podnieść krzyk, że przewaga wojskowa USA nad ZSRR dawno się skończyła i nowymi decyzjami trzeba ją przywrócić. Sens tych skoordynowanych działań jest przerażająco czytelny — chodzi o nowy impuls do rozwoju kompleksu zbrojeniowego.

Możliwość produkcji jeszcze jed-

nego rodzaju broni masowej zagłady wywołała powszechny sprzeciw. Świat obiega fala protestów i masowe żądanie: **rozwoj i produkcja nowych broni muszą być zakazane**. Oczekujemy przecież rozbrojenia, a nie wzbogacania arsenałów wojennych, chcemy żyć bezpiecznie, pewniejsi pokojowego jutra. Łączymy nadzieje ze zmniejszaniem budżetów wojskowych i przeznaczaniem większej części środków pieniężnych na pokojowy rozwój ludzkości. Tymczasem „gorączka neutronowa”, którą wywołały wspomniane koła, jeśli nawet nie zakończy się decyzją o produkcji tych bomb, ma przecież służyć utrzymaniu wysiłku zbrojeń i dalszemu powiększaniu środków na ten cel.

Podsycanie militarnej rywalizacji przez nieustanne doskonalenie techniki niszczenia ludzkości może być na rękę tylko tym, którzy z nich czerpią bezpośrednie zyski. Świadomość tego jest coraz powszechniejsza i ów masowy protest doskonalę do unaoznaczenia.

Może ktoś dziwić się, że tak biegunowo różnie rozwija się sytuacja w świecie. Z jednej strony — wbrew pesymizmowi niektórych kół i stwarzaniu przez nie trudności — osiągnięcie porozumienia w Belgradzie do terminu, czasu trwania i porządku dziennego zasadniczego spotkania przedstawicieli państw-sygnatariuszy Aktu Końcowego Konferencji Bez-

pieczeństwa i Współpracy w Europie, z drugiej — ponowne nakręcanie przez amerykańskie koła wojskowo-przemysłowe spirali zbrojeń. Niestety — tak właśnie: zygakami, z oporami i trudnościami rozwija się proces odprężenia. Upewnia to nas w przekonaniu, jak aktywni są wciąż przeciwnicy pokojowych stosunków między państwami i jak wiele jest jeszcze do zrobienia na drodze do wyeliminowania wojny raz na zawsze.

Stanowisko ZSRR i całej socjalistycznej wspólnoty jest konsekwentne i da się streścić następująco: nie rozpowszechniać broni masowej zagłady, zakazać wytworzenia jej nowych rodzajów, ograniczyć strategiczną broń ofensywną, rozrzedzić zbrojenia konwencjonalne i przejść do rozbrojenia, które docelowo powinno być całkowite i powszechne. I wierzymy, że ostatecznie pójdziemy wszyscy tą drogą...

Wakacje, jak to już raz zauważyliśmy, nie szczędzą nam wydarzeń na arenie międzynarodowej. Wśród wielu tematów tygodnia ten jednakże — zamiaru uruchomienia przez USA produkcji broni neutronowej — stał się dominującym. Trudno się dziwić

W. SŁAWSKI



## I ŁÓDŹ JEST ATRAKCYJNA

Czy Łódź jest miastem turystycznym? Różnie odpowiada się na to pytanie.

W Łódzkim Ośrodku Informacji i Reklamy Turystycznej Przedsiębiorstwa Turystycznego „Łódź” można otrzymać informatory, w których są nie tylko adresy hoteli, campingów, informacje o muzeach, i wszystkim, co może być niezbędne dla nieznającego Łodzi turysty, ale także skrócona, rzeczowa, jasno opisana historia Łodzi, która powinna przekonać, że wbrew pozorom, Łódź jest miastem ciekawym i zasługującym na uwagę turysty.

Idę ulicą Piotrkowską, patrzę na jej kamienice, z których prawie każda ma swoją własną historię. Piotrkowska 99. Wystarczy przytoczyć co o tej kamienicy wspomina się w wydanym przez Krajową Agencję Wydawniczą a zainicjowanym przez Przedsiębiorstwo Turystyczne Łódź albumie „Zabytki architektoniczne Łodzi”:

„Dom reprezentuje nieliczną architekturę neogotycką w Łodzi. Został wzniesiony w 1898 roku jako jeden z wcześniejszych i ciekawszych projektów Gustawa Landaua-Gutentegera. W ciekawej fasadzie budynku zastosowano oszczędną ornamentykę i elementy gotyckie, do których należą ostrołukowe obramowania okien. Asymetrycznie umieszczone wykusz zakończone wieżyczką, został dodatkowo zaakcentowany ażurowym strzelistym szczytem na ścianie fasady głównej. Pozostałe detale architektoniczne są konsekwentnie podporządkowane funkcji elewacji. Podobny, neogotycki wystrój posiada wnętrze kamienicy. Stanowią o nim ostrołukowe sklepienia bramy, piękna robota stolarska drzwi i okien klatki schodowej”.

Autor tego albumu, Wojciech Walczak, tak pisze o Łodzi w swojej przedmowie:

„Rozwój Łodzi był szybki; powstała i rozwinęła się w ciągu jednego stulecia. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat stała się znaną na całym świecie, potężnym ośrodkiem przemysłu włókienniczego, który zapewnił jej oszałamiający rozkwit. Obecnie Łódź liczy około 800 tys. mieszkańców, jest ośrodkiem wielkoprzemysłowym i posiada prawie nieznaną, lecz największą w kraju dziewiętnastowieczny zespół budowli, reprezentujących wszystkie tendencje i kierunki artystyczne tego okresu. Znajdziemy więc w architekturze łódzkiej przykłady klasycyzmu, historyzmu, eklektyzmu, nieco secesji i modernizmu”.

Polecam turystom ten album, ilustrowany przez znanego łódzkiego fotografa i fotoreportera Andrzeja Wacha i radzę patrzeć na Łódź spokojnym, nie rozbieganym w codziennej gonitwie okiem. Pokochajmy przeszłość Łodzi, nauczmy się dla niej szacunku, a lepiej zrozumiemy Łódź nową, tę modernizującą się.

Popatrzmy najpierw na dawną fabrykę Ludwika Geyera — ma tu siedzibę wspomniane już Centralne Muzeum Włókiennictwa z unikalnymi zbiorami z historii przemysłu włókienniczego tkactwa artystycznego, po czym zajrzmy do Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex”, albo do ZPB im. J. Marchlewskiego „Politex”, a potem na nowe fabryki wybudowane na Teofilowie czy Dąbrowie.

Jak poinformowano mnie w „Juventurze”, do Łodzi przyjeżdża około 15-20 Pociągów Przyjaźni rocznie i ponad 10 tysięcy turystów zagranicznych. Są to rzecz jasna dane statystyczne obchodzące wyłącznie „Juventur”. W samym natomiast czerwcu 1971 r. w łódzkich hotelach poza „Grand-Hotelem” i kwatarami prywatnymi, zarejestrowano 7.117 „zagranicznych”. Z kolei przez łódźki „Orbis” w tym samym miesiącu przewinęło się 1.460 osób spoza kraju.

Łódź przestała być już miastem bez bazy turystycznej. A im większa baza, tym silniejsza potrzeba coraz to doskonalszej w formie reklamy turystycznej. Uwierzmy może w atrakcyjność Łodzi, gdy w Muzeum Historii Miasta otworzy się wreszcie stała wystawa obrazująca jej dzieje. Jest ona dopiero przygotowywana, zbiera się dokumenty, pamiątki, fotografie, trwa tam iscie mrowcza praca, mimo iż samo Muzeum jest remontowane. Czynna jest jednak wystawa plakatu Pawła Udorowickiego i wystawa popularyzująca miasto najbliższej Olimpiady — Moskwa.

Istnieje zatem Łódź turystyczna, o czym przekonano się może każdy, kto tylko zechce ją poznać. A warto zdobyć się na taki wysiłek.

ANDRZEJ W.  
MIKOŁAJEWSKI

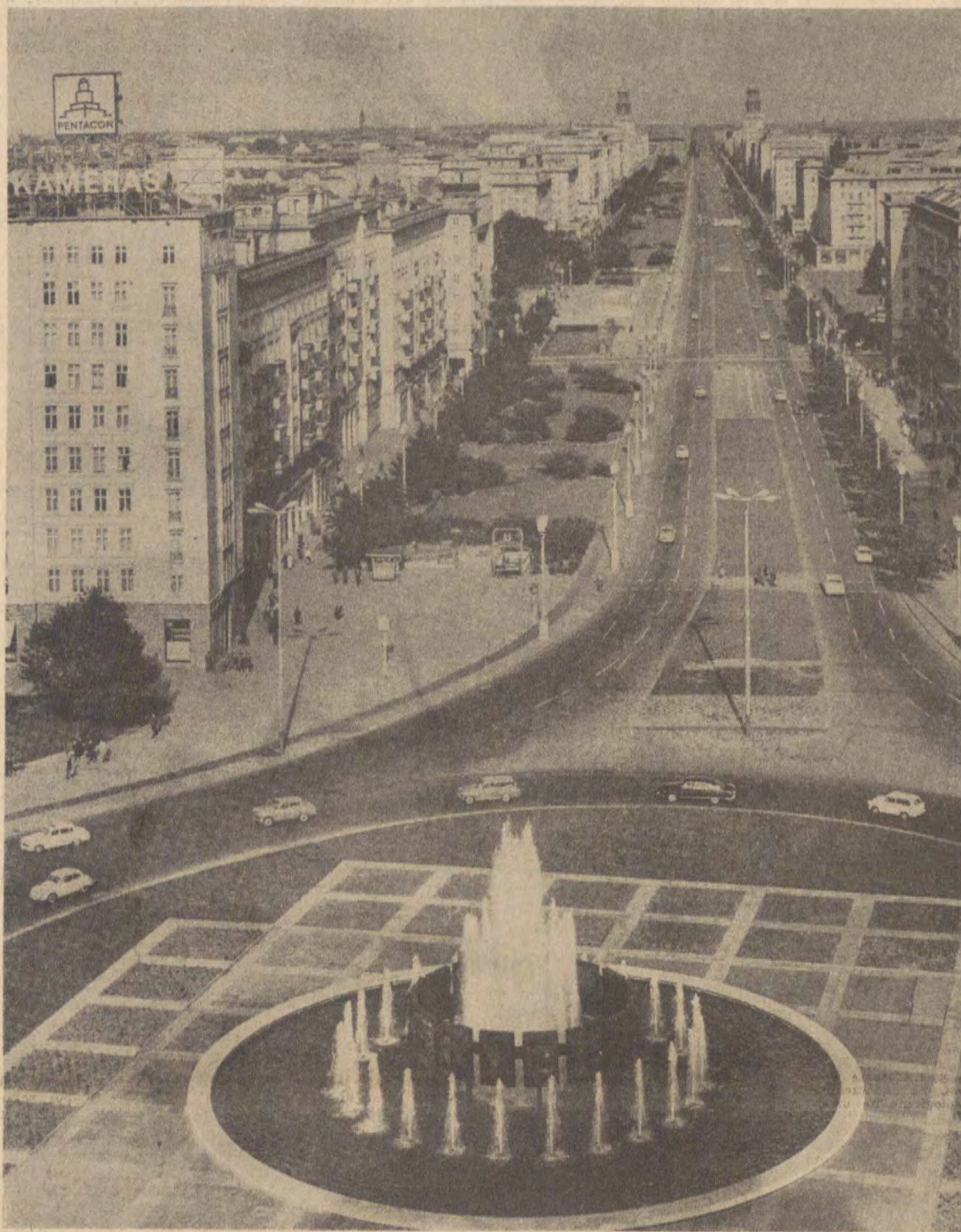


Foto: Archiwum

# BERLIN

Berlin, niegdyś symbol pruskiej potęgi i buty, główny ośrodek antypolskiej polityki, jest dziś stolicą Niemieckiej Republiki Demokratycznej, pierwszym socjalistycznym państwem na ziemi niemieckiej. Kiedy przed laty, jeszcze przed otwarciem granicy, byłem tu po raz pierwszy, zapisałem:

„Tęgo miasta nie sposób polubić, można się z nim co najwyżej oswoić. Ot, choćby jadąc pośpieszną windą na sam szczyt telewizyjnej wieży, skąd za trzy marki można popatrzeć przez pół godziny z wysokości 205 m na domy w dole, na uliczne arterie, wyglądające jak makietka, na cały Berlin, łącznie z jego zachodnią częścią, odgródną granicznym murem. Panoramiczna szyba zapewnia doskonałą widoczność. Z tej wysokości nie dostrzega się zupełnie brzydoty potężnego budynku Nationalgalerie (pruski klasycyzm). Przy odrobinie wysiłku można także nie dostrzec gmachów nowego Placu Aleksandra wzniesionych staranniejszą niż u nas, a jednocześnie z europejskim rozmachem. Gdy się patrzy z wieży, szpetota i piękno wyrównują się tutaj, jak w żadnym innym mieście i można się do tego przyzwyczaić, ale jednak polubić Berlina nie sposób”.

Dziś, kiedy niemal całkowicie przebudowano centrum, kiedy wyrosły nowe gmachy, tamte słowa straciły swoją aktualność, a otwarcie granicy przybliżyło nam Berlin, jeśli nie w znaczeniu emocjonalnym, to przynajmniej praktycznym. I kiedy się uważnie przyjrzy, spotykamy tu rzeczy nie tylko piękne, ale nawet godne podziwu.

Aby zrozumieć, jakie przemiany dokonały się w świadomości Niemców, zwiedzanie miasta rzadziłbym rozpocząć od wizyty w Muzeum Hi-

storii Niemiec (Museum für Deutsche Geschichte). W zabytkowym gmachu dawnej zbrojowni, wzniesionym na przełomie XVII i XVIII wieku przez znanych architektów: Nehringa, Grünberga, Andreea Schlütera i Jana de Bodta, zgromadzone eksponaty, ukazujące zarówno to, co w dziejach narodu naszego zachodniego sąsiada było wzniosłego i wielkiego, jak i to, co było w nim niskie: pruski militarizm, zbrodnie hitlerowskie. Jest to pouczająca dawka historii, także dla nas, Polaków, jeśli chcemy poznać wkład niemieckich komunistów w dzieło przeobrażenia swego społeczeństwa. Do rzędu tych samych pamiątek zaliczyć można Mauzoleum Ofiar Faszyzmu i Militarizmu w zabytkowym gmachu Nowego Odwachu, wzniesionym w siedemnaście laty przez architekta Schinkela. Obie te budowle, podobnie jak większość zabytków berlińskich, uległy zniszczeniu w czasie ostatniej wojny, zostały jednak pieczołowicie zrekonstruowane w latach sześćdziesiątych. I żeby już wyczerpać temat martyrologii, na pewno warto obejrzeć odsłonięty w maju 1972 roku Pomnik Żołnierza Polskiego i Niemieckiego Antyfaszysty dłuta T. Łodzińskiego, Z. Wolskiej oraz A. Wittiga, który stanął w Parku Ludowym w Friedrichshain.

Nie jest to jedyna w Berlinie pamiątka związana z Polską. Można by zestawiać długą listę naszych rodaków, którzy działali w tym mieście

w okresie porzobiorowym, od poetów, poprzez księżęta, aż do krawców, którzy osiągnęli sławę równą księżętom, można sypać anegdotami. Zamiast tych wielu informacji, przytoczmy opinię poważnej gazety „Berliner Börsen Courier”, która pisała w 1910 roku:

„Zaiste, wielką jest niespodzianką, że Berlin, metropolia Rzeszy Niemieckiej, stał się z biegiem czasu drugim z rzędu największym miastem polskim. Tylko Warszawa przewyższa go pod tym względem. Berlin, liczący przeszło sto tysięcy Polaków i mieszkanców, niezawodnie polskiego pochodzenia, wypredza tą cyfrą polskie wielkie miasta: Kraków, Lwów, Poznań”.

Jeśli nawet opinia ta jest przesadna, to przecież nie ulega wątpliwości, że na początku XX wieku właśnie berlińska kolonia Polaków była najpoważniejszym ośrodkiem emigracyjnym w Europie. Ale symboli tej obecności spotkamy dziś bardzo niewiele. Można do nich z całą pewnością zaliczyć katedrę katolicką św. Jadwigi (St. Hedwigs-Kathedrale) przy placu Augusta Bebla. Została ona zbudowana w latach 1747-1773 przez architektów Legay, Bühringa i Boumanna z inicjatywy Fryderyka Wielkiego, który posłuchał wezwania biskupa Ignacego Krasickiego. Katedra ta, odbudowana od podstaw w roku 1964, należała do najstarszych berlińskich kościołów. Architektura sakralna stanowiła zresztą zawsze pięć Achillesową miastą nad Szprewą. Nie było tu nigdy kościołów, które by uchodziły za piękne, jest wszakże parę, które zasługują na uwagę. Należy do nich niewątpliwie Kościół Mariacki (Marienkirche), bardzo stary, trzynastowieczny, o surowym gotyckim wystrój wnętrza, przebudowywany zresztą niejednokrotnie. Dzisiejszy jego wygląd pochodzi z wieku XV, jedynie wieża jest młodsza, wznosił ją architekt Langhans Starszy w wieku XVIII. Osobliwością tej świątyni jest niezłe zachowany fresk „Taniec śmierci”, jeden z tych stynnych dance macabre, w których tak lubowało się średniowiecze. Starsza od tego kościoła była tylko bazylika św. Mikołaja, wzniesiona około 1200 roku, całkowi-

cie zniszczona podczas ostatniej wojny i zachowana jako ruina.

Rekomendując berlińskie zabytki, trudno nie wspomnieć o paru miejscach, które koniecznie trzeba odwiedzić. Godny uwagi jest zachowany fragment średniowiecznych murów pomiędzy dzisiejszymi ulicami Littenstrasse i Weisenstrasse. Na rogu ulicy Friedenstrasse w pobliżu parku Friedrichshain znajduje się słynna studnia Märchenbrunnen, zbudowana przez Ludwiga Hoffmanna z rzeźbami I. Taschnera i J. Raucha, przedstawiającymi postacie z baśni. Także berlińskie niedźwiadki Nante i Jette, którym miasto zawdzięcza swój herb, zostały uwiecznione i możemy je spotkać w tzw. Bärenzwinger przy Rungestrasse. Ale niewątpliwie najslawniejszą budowlą berlińską, znaną nam doskonale z plany telewizyjnej, jest Brama Brandenburska (Brandenburger Tor) przy placu Paryskim, z kwadrygą na szczycie, dzieło architekta C. Langhansa. Tu zaczyna się słynna berlińska ulica Unter den Linden, niegdyś ulica hoteli, a dziś przede wszystkim ambasad.

Kilka słów należy poświęcić berlińskim muzeom, kompleksowi ogromnych gmachów, zlokalizowanych na „wyspie muzealnej” nad Szprewą. Cały ten, imponujący obiekt, powstawał w ciągu przeszło 100 lat i był głównym dziełem architektów Karla Friedricha Schinkla i Augusta Stülera. W okresie międzywojennym wybudowano jeszcze jeden potężny gmach z przeznaczeniem na ołtarz pergamoński. Ta słynna budowla sakralna z III w. p.n.e., związana z panowaniem króla Eumenesa II, została w końcu XIX wieku, za zgodą rządu tureckiego przewieziona do Berlina i umieszczona w gmachu Starego Muzeum. Dopiero w 1930 roku otwarto Pergamonmuseum, w którym starogrecki ołtarz, po burzliwych perypetiach wojennych, znajduje się do dziś. Choć sława ołtarza pergamońskiego przyciemnia inne eksponaty, warto pamiętać o znajdujących się w tym samym gmachu zbiorach antycznych (m. in. brama z Miletu), zbiorach sztuki Bliskiego Wschodu (Vorderasiatisches Museum) wraz ze słynnymi lwami babilońskiej alei procesyjnej i bramą Isztar, o ogromnej kolekcji sztuki starogipskiej (Ägyptische Museum).

W Kunstgewerbemuseum, w dzielnicy Köpenick, na Wyspie Zamkowej znajdują się bogate zbiory rękodzieła artystycznego. Wreszcie w Muzeum Roberta Kocha możemy poznać życie człowieka, któremu zawdzięczamy wykrycie zarazki gruźlicy.

Tych, którzy wybierają się do Berlina na nieco dłużej, zachęcam do odwiedzenia malowniczej dzielnicy Köpenick, pośród jezior i lasów, głównej niegdyś z afery szewca Voigta, który przebrany w mundur kapitana aresztował w roku 1906 burmistrza i zarekwirował kasę miejską, co stało się tematem wielu utworów literackich. Nietrudno tutaj o miejsce na camping, a jest co zwiedzać w najbliższej okolicy, poczynając od zamku z siedemnastego wieku, po Müggelturm, która stanowi wspaniały punkt widokowy Wszędzie tu pełno restauracyjek, kafejek, ulokowanych nad brzegami jezior Grosser Müggel, Longer, Krampe i wielu innych, które łączą się ze Szprewą.

Na zakończenie tej pobieżnej, z konieczności, wędrowki po Berlinie, kilka informacji praktycznych.

Berlińskie sklepy, pragnące zresztą na ogół krócej niż w Polsce, nieczynne są w soboty i niedziele. Tylko niektóre sklepy spożywcze czynne są do godziny 22 (na dworcu Friedrichstrasse przy rogu Georgenstrasse oraz przy Brunnonstrasse 3). Jeśli zamierzamy kupować prezenty dla najbliższych, polecamy domy towarowe przy Aleksanderplatz. Można też odwiedzić sklepy specjalistyczne: z wyrobami skórzanymi (Karl-Marx-Alee 75), pończoszniczą (Strausberger Platz 16), z porcelaną miśnieńską (Friedrichstrasse 62/63), z jenańskim szkłem (Karl-Marx-Alee 103b), fotograficznym (Karl-Marx-Alee 83), radio-wo-telewizyjny (Karl-Marx-Alee 87).

Głównymi środkami transportu są doskonale funkcjonująca szybka kolej miejska (S-Bahn) oraz metro (U-Bahn), którym można przejechać z Placu Thälmana do Friedrichsfelde oraz do Pankow. Stacją przesiadkową jest dworzec Aleksanderplatz. Tramwaje i autobusy miejskie odgrywają mniejszą rolę.

Gastronomia berlińska reprezentuje wysoki poziom, trzeba się jednak liczyć z tym, że w niektórych lokalach jest przerwa obiadowa i spożycie posiłku może być połączone z pewnymi kłopotami. Polecam restaurację „Moskwa” (Moskau) przy Karl-Marx-Alee 34, „Operncafe” w dawnym pałacu książęcym z XVIII wieku przy Unter den Linden 5, „Rateller” w zabytkowym, tzw. czerwonym Ratuszu z XIX wieku. Kogo interesuje życie nocne Berlina może odwiedzić nocne bary „Casino” (Am Zirkus 1) oraz „Koralle” (Invalidenstrasse 40/41). Posiadacze legitymacji zwiazków twórczych mogą wreszcie odwiedzić klub „Die Mowe” przy Luisenstrasse 18, odpowiednik naszego „Spatifu”,  
KONRAD FREIDLICH







Choć komornik i bryndza siedzą, ci na karku, Fójdz na Bal Dziennikarza w Helenowskim parku Niech ten peten uroku, szampański epizod Przerwie pasmo tnych smutków, kłopotów i zgrzyot.

Łodźianie wrażliwi na powabną reklamę prasową wędrowali przed wojną w letnie dni świąteczne do parku w Helenowie, by posłuchać orkiestry Namysłowskiego, spotkać się ze znajomymi, lub z zapartym tchem śledzić wloty aeroplanem z pasażerami amatorami i podziwiać odmłodzonych obywateli, których ze starych poprzemianiał nadzwyczajny artysta magik. Nieśmiałych wrażeń łodźian oczekiwali wieczorem kinematografy w atrakcyjnymi obrazami salonowo-erotycznymi w rodzaju: „Złamała lilia”, „Hrabina popychadło” itp. Jeśli zlakniony przeżyć widzi nie mógł wysiedzieć w dusznych salach kinematografu, podał do teatrzyków ogródkowych, by w cieniu drzew sycić oczy i uszy nieskończenie komieczną farsą, lub nadzwyczaj wesołą krotochwilą.

W latach międzywojennych powstało w Łodzi kilkanaście letnich scenek. Należał do nich „Gong” przy ul. Śródmiejskiej 17, „Chochlik” Sienkiewicza 40, przemianowany później na „Złota „Kaczka”, nadszaska w kinie „Jar” i wiele innych efemerycznych teatrzyków, które działały ze zmiennym szczęściem, rzadko kilka sezonów, i prawie zawsze kończyły fiaskiem. Najdłuższymi z nich przetrwał Teatr Letni w parku Staszica, który bez mała czterdzieści sezonów wytrwał bawił nie zawsze mu wierną łódzką publiczność.

Inicjatorem powstania tej najmniejszej letniej scenki był Kazimierz Wroczyński, dyrektor Teatru Miejskiego. Ponieważ latem zawsze spadała w teatrach frekwencja, powodując często bankructwo dyrektorów, letnia scena miała zasilić, pustą w tym okresie, teatralną kasę. Początkowo Wroczyński wykorzystwał do tego celu muszle koncertowe, która pozostała po wystawie rzeczniczniczej urzędzonej w 1912 r. w parku Staszica, ale brak dachu nad widownią komplikował sprawę podczas deszczu. Toteż Wroczyński wysłał w 1924 r. biogalny apel do magistratu, aby w parku Staszica zbudować letnią scenę — filię Teatru Miejskiego. Magistrat aprobował projekt i w niespełna trzy miesiące, kosztów 32 milionów marek, powstał drewniany budynek, na miejscu zbierany budynek koncertowy, według projektu Henryka Hirszenberga i Izraela Olszera. Wokół teatru ustawiono palmy, arawy i drzewa bananowe, a wejście do niego ozdobił kwiatnik w kształcie gwiazdy. Wcześniej wstęp do narku mieli tylko nabywcy biletów do teatru. Rekordowe tempo budowy odbiło się jednak na jakości wykonania. Toteż wszystkie usterek budowlanych sędzieli sen z powiek kolejnym dyrektorem Teatru Miejskiego, którzy przed rozpoczęciem letniego sezonu stali do magistratu przynajmniej próbowo o subwencję na remont sceny, reparację dachu i wejścia.

Otwarcie Teatru Letniego w parku Staszica nastąpiło 15 czerwca 1925 r. o godzinie 20.30. Na inaugurację wybrano komedie Brunona Winawera „Znajomek z Fiesole”, sztuka była zresztą napisana, posiadała dowcipne dialogi i niezłą obsadę, co miało niebagatelne znaczenie dla małej sceny Teatru Letniego. Komedie reżyserował Jerzy Walden „bardzo szczerzy miłośnik tea-

tru a zwłaszcza nowych prądów”, a artyści zagrali ją pierwszorzędnie. Nie wiec dziwnego, że publiczność nagradzała ich gromkimi brawami, zwłaszcza Michała Znicza i Jana Mrozińskiego, bohaterów wieczoru.

Pierwsze przedstawienie na nowej scenie odbyło się pod doświadczeniami. Choć „Znajomek z Fiesole” nie był komedią muzyczną, w antrakciech przygrywała orkiestra, jak w dawnych warszawskich teatrzykach ogródkowych. Tamtego majowego wieczoru na szczęście nie pa-

HALINA GAWLIK

## O BIEDNEJ SIEROTCE CO W WIĘZIENIU SKONAŁA

dat deszcz i jasno świeciły po oby stronach teatru dwie latarnie ozdobione starymi herbami Łodzi. W ich świetle doskonale się prezentował huculski fronton teatrzyku w otoczeniu tropikalnych palm i bananów. Dziś te same latarnie oświetlają wieczorem pustą o tej porze plac zabaw dla dzieci. Od samego początku jednak teatr walczył z najrozmaitszymi przeszkodami. Albo brakowało na widownię ławek i brezentowych bożycnych zasłon, albo drewnianej podłogi. Mankamentem było również położenie teatru. Park Staszica mieścił się wtedy na peryferiach miasta, a pół wieku temu centrum życia kulturalnego i handlowego skupiała ulica Piotrkowska i tylko niebawale atrakcja poza nią najbogatsza łódzka ulica szeroka publiczność przyjmowała z entuzjazmem. Mowły to być karkołomne akrobacje cyklistów w kole śmierci, skoki z czwartego piętra w płomień lub wściekłej konne w Rudzie. Od 1925 r. seton letni w narku Staszica otwierano w końcu maja i zamykano we wrześniu. Trwało tak lat kilkanaście, noki teatrzyku letniego nie zahija konkurencją, to jest druzi teatrzyku zbudowanego przez Lisnera, właściciela obłony z zabawkami, przy ul. Piotrkowskiej 94.

Repertuar obok senek tworzyły farsy, komedie, wodewile i rewie. Teatrzyki chciały bawić zapracowanego i zmęczonego upałem mieszczucha, którego gusta zaspokajały z powodzeniem quodlibety w rodzaju: „Hrabina Tłumok” i „Dziecko olbrzym”. Były to widowiska na ogół słabe literacko i, ze względu na częste premiery, prawie zawsze nie dopracowane scenicznie. Nie bez słuszności więc sztydził recenzentów z repertuaru i ganili aktorów za brak pamięciowego opanowania ról. Często premiery powodowały walka o władza. Teatrzyki nie mogli go stracić. Przeciwnie, zaczęła publiczność często zmieniać repertuar i niewybredna reklama: „Jeśli wojna na dalekim Wschodzie grozi konsekwencjami dla całego świata, to rewia pi. „Chiński raj” nie ma nic wspólnego z tymi niepokojami”, ale i tak reklama w rodzaju: „Brylanty, złoto, sztuczne rezy, nawet polamane, biżuterie kupuje i najwyższe ceny płaci J. Fijałko

Piotrkowska...”, była poprzednia. Ograniczone możliwości finansowe i prymitywne warunki techniczne teatrzyków nie pozwoliły dyrektorom ośnić widownię bogactwem kostiumów i dekoracji. Urozmaicano więc niektóre przedstawienia różnymi niespodziankami. W rewii „Sami gramy” artyści rozdawali widzom kwiaty firmy „Salva” i czekolady Suchard, a w rewii „Panna Łódź” publiczność wybierała „królową i damy dworu” spośród pięknych łodżanek, kiedy indziej znów widownia rozdygotała podczas przedstawienia krzyżówki, lub podziwiała panią Niemirzankę w tańcu „między sercami”, w którym dosłownie „unoszą się ona w powietrzu”. Przedstawienia rewiiowe składały się z reguły z kilkunastu obrazów, które tworzyły piosenki o kanalizacji łódzkiej, skecze o niedzy łódzkiego kupca, kupie-

ską i repertuar „Bagateli”, do niektórych przedstawień angażując nawet artystów warszawskich. Pojawiają się więc na afiszach nazwiska Kazimierza Krukowskiego, Tola Mankiewiczówny, Ludwika Sempolińskiego i innych. Nie wiec dziwnego, że Teatr Letni nie mógł konkurować z „Bagatelą”. Otwarcie teatrzyku, o którym mowa, nastąpiło siódmego czerwca 1934 r. Tego samego dnia otwarto również w ogródku kawiarni, w której można było grać w bilard, szachy i posłuchać orkiestry. Wieczorem, na małej scenie „Bagateli” wystawiono rewie „Humor krzepi” pod kierownictwem artystycznym Ludwika Sempolińskiego. Tak wiec od 1934 r. zespół aktorski Teatru Miejskiego ural na obydwo scenach przy zmniejszającej się ciągle frekwencji widzów w parku Staszica.

Repertuar „Bagateli” był taki sam jak Teatru Letniego. Tworzyły go wodewile, rewie i frywolne farsy. Przy słabej frekwencji dyrekcje ratowały się wystawianiem popularnych ale często banalnych sztuk, co powodowało obniżenie poziomu repertuarowego, lecz na dłuższą metę i to zawodziło. Najszerze bowiem rzesze publiczności wołały tłoczyć się do cyrku „Medrano”, by podziwiać piętnaście troszowanych lwów, oglądać malwy w Helenowie, lub zadowolone dech z wrażenia, śledzić wycieczny Adama Pietrzaka, który bez trudu zniżał żelazne sztaby i rozrywał łańcuchy. Jeśli komuś nie poszczęściło się tego wszystkiego przeżyć i tak nie miał czego żałować, albowiem czekały na niego książki o wstrząsających losach „biednej sieroty co w więzieniu skonała”. Lub „Wskrądzionej w dzień ślubu”. Szeroka publiczność zawsze lubiła się wzruszyć i zabawić za tanie pieniądze.

Niekiedy odbywały się glosy, by urządzić teatr dla najszerszych mas, ale „Letni” z trzydziestoma miejscami na widowni, mała scena i prymitywne staroderobami, nie mógł sprostać stawianym mu wymaganiom. Frekwencja w cyrku była zawsze dwukrotnie wyższa w ciągu jednego miesiąca niż w Teatrze Letnim w ciągu trzech. Powodzenie spektaklu zależało bowiem od wielu czynników. Decydowała o tym zarówno pogoda, aktualny bieg wydarzeń międzynarodowych, jak i kurs giełdy. O powodzeniu i niepowodzeniu sztuki decydowała również śmiech mała subwencja ażełżona od hojności zmieniających się nader często prezydentów miasta i ich aktualnego stosunku do teatru. Aby podreperować teatralną kasę, wystawiano bajki dla dzieci w godzinach popołudniowych, rewie wodewile, komedie muzyczne — wieczorem. Publiczność, która przehodziła do Teatru Letniego, szukała tu zabawy i schronienia przed duchofa nieskanalizowanego miasta. Nie dziwnego zatem, że w skwarne i upalne lata bywało tu gwarno i ludno. Po całodziennym spiekocie trudno było wytrzymać w gęsto zabudowanych, wąskich ulicach bez powietrza i przestroni. Dla mieszkańców ażełżym i schronieniem były łódzkie parki. Tłumnie odwiedzane, służyły za miejsce towarzyskich spotkań i zabaw. W jednym z nich powstał właśnie teatrzyk, który urozmaicał urobie życia kulturalne polskiego Manchesteru.

„Letnia atrakcja Łodzi” — teatr Letni w parku Staszica został w czasie wojny przeznaczony na magazyn siana i ostatecznie zburzony wiosną 1942 r. „Bagatela”, po wojnie, była w okresie kanikuly letnia scena „Syreny”, a po wyjeździe tego teatru do Warszawy, korzystali z niej: następcza „Syreny” teatr literacko-satyryczny „Osa” oraz Państwowy Teatr im. S. Jaracza. Ostatecznie spotkał ją los wielu teatralnych pomieszczeń w Łodzi — sponęła jesienią 1954 r.

„Letnia atrakcja Łodzi” — teatr Letni w parku Staszica został w czasie wojny przeznaczony na magazyn siana i ostatecznie zburzony wiosną 1942 r. „Bagatela”, po wojnie, była w okresie kanikuly letnia scena „Syreny”, a po wyjeździe tego teatru do Warszawy, korzystali z niej: następcza „Syreny” teatr literacko-satyryczny „Osa” oraz Państwowy Teatr im. S. Jaracza. Ostatecznie spotkał ją los wielu teatralnych pomieszczeń w Łodzi — sponęła jesienią 1954 r.



Foto: Archiwum

## WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

### ROMANS Z WYDZWIĘKIEM

Miłością płonąc jak meteor, pieczęć jej kibic tak powabną! Ona — ma Julia! Ja — Romeo, co pragnie każdą myśl jej zgodnąć.

Patrzę w jej oczy nieprzyciemnie i pocałunków wzniciam ogień, a ona znów się tuli do mnie, choć ja już tulić jej nie mogę.

Ledwie już ziępię, dość mam szaleństw, lecz ona mówi, pełna werwy: Czytam gazety — piszą stałe, że trzeba sięgać po rezerwy!

### LEWORECZNI

Nie gwoli kpinom pragnę tutaj przedstawić wierszyk o mańkutach! Choć termin brzmi nie nazbyt pięknie, niejednen praworeczny zmięknie, gdy dowie się, że Leonardo swą lewą rękę brudził farbą i dzierząc pędzel w lewej dłoni z czarzem Mony Lizy gonil. I Michał Anioł w swej Firenze też trzymał dło w lewej ręce! I nawet Goethe, słowa tytan, też lewą ręką pióro chwytal! A pisarz Iks, co przed oczyma przykładów ma tych listę piękną, choć pióro w prawej ręce trzyma, to jednak pisze lewą ręką.

## HUMOR ANGIELSKI

— A więc, mister Macpherson, twierdzi pan, że panu ukradziono samochód i pan wie dobrze, kto to zrobił? — indaguje inspektor Scotland Yardu.

— Wiem, naturalnie! Ale proszę się nie spieszyć z aresztowaniem złodzieja. Niech mi wprzód przemałuje samochód. Już dawno sam to chciałem zrobić!

— Za mało masz doświadczenia, synu, aby się żenić!  
— A kiedy, według ciebie, człowiek staje się wystarczająco doświadczony, aby się żenić?  
— Wtedy, kiedy zacznie rozumieć, że nie warto się żenić.

Piękna i młoda lady Clare przyjęła służącą. Dziewczyna służyła dziesięć lat w jednym i tym samym domu. Lady Clare postanowiła udać się pod wskazany adres, aby sprawdzić szalenie pochlebną rekomendację.  
— Ta dziewczyna nie może u pani służyć, droga lady Clare. Mój dom jest bowiem domem schadzki, a ja nie jestem żadną lady. Po prostu nazywają mnie Pegg Plunkett (coś w rodzaju: zdechł pies).  
— Wielki Boże — zawołała lady Clare — splamiliam swoją cześć wizytą w domu publicznym!  
— Nie nie szkodzi — powiedziała Pegg — zaraz panią wypuścimy przez drzwi dla ministrów!

Dwie żebraczki spotykają się w londyńskim City. Jedna prowadzi za rękę ślepego staruszka, druga dźwiga na ręku małe dziecko.  
— Jak idzie byznes? — pyta pierwsza.  
— Calkiem źle — odpowiada druga. — Za wynajęcie dziecka żądają funta na tydzień.  
— Strasznie drogo! Mój staruszek kosztuje mnie tylko pięćdziesiąt pensów i w dodatku służy mi jeszcze odrobina za męża.

Doktor Brown tłumaczył Murzynowi co to jest szlachcic. Po wykładzie Murzyn powiedział:  
— O massa! W twoim kraju wszystko pracuje — woda pracuje, wiatr pracuje, ogień pracuje, dym pracuje, psy pracują, człowiek pracuje, wszystko pracuje z wyjątkiem świni, która nie robi tylko je, śpi, pije i znówu śpi. Czy swinia też jest szlachcikiem?

— Ach, doskonale, doskonale! I puls świetny i język dobry. Widać, że brał pan regularnie przepisane przez mnie leki!  
— Ale skądże, doktorze! Wyrzuciłem je przez okno, z trzeciego piętra na ulicę.

Milioner z Teksasu postanowił kupić w Anglii Rolls-Royca. W magazynie wrecza sprzedawcy czek na trzydzieści tysięcy funtów.  
— Jak mamy wydać resztę? — pyta sprzedawca.  
— Niech pan doda parę malolitrażowych samochodów...

Młoda para weszła do sklepu jubilerskiego i prosi o zademonstrowanie najdroższych pierścieni i bransolet. W pewnym momencie mło-

dy człowiek zaczyna szukać czegoś nerwowo po kieszeniach. Jego przyjaciółka mówi do jublera:  
— Bardzo przepraszam! Przyjdziemy tu kiedy indziej! Mój narzeczony zapomniał zabrać rewolweru.

Reklama w małym wiejskim hoteliku:  
„U nas jest bardzo pięknie, cisza i czyste powietrze! Jeżeli nie będziecie mogli u nas usnąć i spać jak kamień, to znaczy, że macie nieczyste sumienie!”

Szef odwiedza chorego urzędnika:  
— Podejrzałem, że pan symuluje chorobę, panie Smith. Ale konstataję, że z wielką przyjemnością, że jest pan naprawdę poważnie chory!

Dwaj włamywacze buszują w cudzym mieszkaniu. Nagle z ulicy dobiega głos syreny:  
— O rety, policja! Skakaj prędzej przez okno!  
— Co? — mówi ten drugi. — Mam skakać z trzynastego piętra?  
— Skacz natychmiast! Do diabła z przesądami!

Gość w restauracji długo czeka na zamówione danie. W końcu podchodzi do niego kelner.  
— Pańska ryba, sir, będzie gotowa za kilka minut!  
Gość zdumiony:  
— Tak, a na co ja łapiecie? Na robaka czy na bluszczkę?

Z czasopism: „Children's Newspaper”, „Week”, „Weekend”, „Punch” i in. wybrał:

H. RUD.